

Księżna z Belgii posługuje w wileńskim hospicjum | **Litwa ma trzech kardynałów** | „Bieło-Polak” Jałbrzykowski
Pół wieku „Ziemi obiecanej”, arcydzieła kina | Simona Kossak, czarna owca w słynnej rodzinie malarzy

KURIER WILEŃSKI

MAGAZYN

1-7 marca 2025 r.

Nr 9 (25)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Tradycja, która łączy oba narody. Rozpoczynają się Kaziuki!

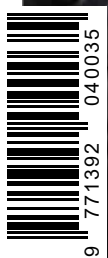
To jedno z najważniejszych wydarzeń w stolicy Litwy. Trwająca od 1636 roku tradycja na cześć św. Kazimierza (to jego „maskotkę” widzimy na zdjęciu) jest tradycją ponadnarodową. „Swoje” Kaziuki mają też Warmia i Mazury w Polsce. Nestorka polskiego dziennikarstwa na Litwie, Krystyna Adamowicz, nie tylko opisuje te 35 lat służby w łączeniu naszych krajów i narodów, ale jest przede wszystkim niezmiennym organizatorem – po stronie wileńskiej – tej kolorowej, rozśpiewanej i roztańczonej wyprawy.

Wszystkim tym, którzy od dekad budują ponadgraniczną atmosferę przyjaźni, zabawy i wymiany – należą się wyrazy uznania za ich przepiękny wkład.



Fot. Marian Paluszkiewicz

ISSN 1392-0405



KALENDARIUM

1 marca

1921 – w Polsce Sejm przyjmuje ustawę o utworzeniu województw: nowogródzkiego, poleskiego, białostockiego. De facto anektowano część terytoriów Litwy Środkowej jeszcze przed plebiscytem. Piłsudski oburzony był takimi krokami: „To, co Sejm zrobił, to była kradzież. Wojska wzięły ten kraj bohaterskim wysiłkiem, Sejm złodziejskim”.

2 marca

1861 – w Warszawie pogrzb pięciu poległych. Rosjanie zastrzelili ich podczas manifestacji. Sprawę pogarszało późniejsze usuwanie wiernych z kościołów w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki. Traktowanie ludności cywilnej przez okupacyjne wojska rosyjskie przyspieszyły pogarszanie się nastrojów, co doprowadziło do powstania 1863 r.

3 marca

1919 – podpisano w Brześciu pokój z Rosją sowiecką. Nie był on uznawany przez Francję i Wielką Brytanię, gdyż oznaczało to pogwałcenie umowy sojuszniczej Rosji z tymi krajami. De facto uznawał on kontrolę Niemiec nad Litwą, Polską, dawał quasi-niepodległość Ukrainie. Pokój nastąpił po serii ultimatów Niemiec.

4 marca

1933 – Hitler, który w tym roku przejął władzę w Niemczech, spotkał się w Królewcu z delegacją Niemców z Kłajpedy. Obiecał ją przejąć. Założono kłajpedzkie organizacje nazistowskie, finansowano antylitewską propagandę i gromadzono chętnych do zbrojnego przewrotu. Litewskie służby rekwirowały u członków tych organizacji broń palną.

5 marca

1953 – umiera Stalin. Rozpoczęła się walka o władzę. Był Gruzinem z narodowości. To nie był rzadki przypadek w rosyjskim imperium, aby przedstawiciel nierosyjskiej narodowości, odpowiednio „złamany”, stał się gorliwym realizatorem rosyjskiej idei imperialnej. Inne przykłady: Polak Feliks Dzierżyński, pół-Litwin Nikołaj Jeżow.

6 marca

1940 – delegacja fińska leci z premierem Risto Rytim przez Sztokholm do Moskwy, aby tam omówić warunki zawieszenia broni. Kilka dni później zimowa wojna dobiegła końca. Choć ZSRS straciło 127 tys. żołnierzy (do tego 265 tys. rannych), dla Sowietów nie było to wiele. Jednak Rosjanie roszczenia wobec Finlandii wysuwają do dzisiaj.

7 marca

1934 – Polska podpisuje z III Rzeszą traktat o zakończeniu wojny celnej i nastawionych przeciwko sobie kampanii prasowych. Wcześniej podpisano pakt o niestosowaniu przemocy, na 10 lat. Józef Piłsudski chciał w ten sposób kupić więcej czasu dla Polski na przygotowanie się do obrony.



Robert Mickiewicz

Kaziuki łączą Litwę i Polskę

7 marca w Wilnie ruszy tradycyjny Jarmark Kaziukowy. Ta barwna i huczna impreza stała się jedną z najważniejszych i najpiękniejszych wizytówek stolicy Litwy. Tradycja trwa od 1636 r. Najpierw impreza odbywała się na placu Katedralnym, na początku XX w. przeniosła się na plac Łukiski, a teraz właściwie rozlała się po całej wileńskiej Starówce.

Dla wielu to świętowanie kojarzy się z dwoma rzeczami: tradycyjnymi palmami wileńskimi i... tłumami wilnian i gości naszego miasta, którzy docierają na wileńską Starówkę. Niezdolna przebić się. Tak w skrócie można określić Wileńskiego Kaziuka. Setki straganów z przeróżnym towarem, non stop trwający program artystyczny i właśnie nieskończone tłumy chętnych przybliżyć się do wileńskiej wciąż żywej tradycji. I tak każdego roku, nie zważając na pogodę.

Ale nasz Kaziuk ma jeszcze jedną wspaniałą tradycję. Łączy narody i kraje. Łączy Litwę i Polskę. W tym wydaniu magazynowym „Kuriera Wileńskiego” nestorka polskiego dziennikarstwa na Litwie, pani Krystyna Adamowicz, pisze o wspaniałej tradycji – 35 latach Kaziuków-Wilniuków na Warmii i Mazurach. Pani Krystyna nie tylko opisuje te 35 lat służby w łączeniu naszych krajów i narodów, ale jest przede wszystkim niezmiennym organizatorem – po stronie wileńskiej – tej kolorowej, rozśpiewanej i roztańczonej wyprawy z Wilna na Warmie i Mazury. Powiem więcej. Przez wiele lat pracy w „Kurierze Wileńskim” z bliska obserwowałam tę tytaniczną pracę przygotowawczą, jaką robiła i robi nadal. Te tak obszerne i różnostronne przedsięwzięcie, jak Kaziuki-Wilniuki na Warmii i Mazurach, rozpoczyna się na długo przedtem, nim autokary z artystami wyruszą z Wilna w długą podróż do Polski, aby podarować rodakom piękno i serdeczność wileńskiej ziemi.

W imieniu redakcji „Kuriera Wileńskiego”, która przez 35 lat patronowała tej pięknej inicjatywie, chciałbym podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do tego wspólnego świętowania. Dziękujemy!

Robert Mickiewicz

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor naczelny:** Robert Mickiewicz.

Zastępcy redaktora naczelnego: Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski. **Sekretarz redakcji:** Piotr Łukasik. **Dziennikarze:**

Honorata Adamowicz, Aleksander Borowik, Justyna Giedrojc, Brenda Mazur, Anna Pieszek, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Tomasz Balbus (IPN), Grzegorz Górny, Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocky, Anna Pawłowicz-Janczyz, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk, ks. Jarosław Wąsowicz.

Fotoreporterzy: Marian Paluszkiwicz, Tomasz Jędrzejowski. **Skład i łamanie:** Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica, Halina Taukin. **Fotoedycja:** Paweł Sulej. **Dział**

promocji: Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt), Jolanta Balkiewicz – reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wileński”, Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis”. Nakład: 2500 egz.



Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. „Polonia i Polacy za Granicą 2023”, ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbliżone z opinią redakcji.



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego



OZIENNIK NALEŻY DO
EUROPEJSKIEGO
STOWARZYSZENIA GAZET
CODZIENNYCH
MNIJSZOŚCI
NARODOWYCH

Trzy pytania o wystawę
w kościele św. św. Janów »4

Zdjęcie tygodnia: Trzecia
rocznica agresji na Ukrainę »5

Rajmund Klonowski:
Nie wystarczy skandować
o Niezłomnych »6

Artur Płoszto: Trump
w akcji. Niestety »6

Jarosław Tomczyk:
Nie mieszajcie ich
do polityki! »7

Kaziuki-Wilniuki – pierwsze
w Polsce i jedyne »8-11



Każdej zbliżającej się wiosny z Wilna
wyrusza do Polski ekipa artystów,
mistrzów rzemiosł sztuki ludowej.
To Kaziuk Wileński jedzie z ziemi
wileńskiej na Warmię i Mazury.

Przyjechałam do Wilna
z moim sercem »12-13



Księżna Elżbieta Drucka Lubecka de
Séjournet przyjechała właśnie z Belgii, aby
opiekować się chorymi w Hospicjum bł.
ks. Michała Społki w Wilnie. Opowiada o
tym „Kurierowi Wileńskiemu”.

Litwa szczyti się dziś
trzema purpuratami »14-15



Litwa ma obecnie aż trzech księży
Kościoła, czyli kardynałów. Taka sytuacja
zaistniała pierwszy raz w historii Kościoła
katolickiego w naszym kraju.

Siłacz na scenie »16-17

14 lutego w DKP w Wilnie zabrzmiał
wyjątkowy koncert zatytułowany
„ZaczynjMY od Bacha”. Publiczność udała
się w muzyczną podróż przez największe
przeboje Zbigniewa Wodeckiego.

Pocopotek: Zaczyna się
marzec... »18-19

Czy rodzice powinni się
tak wtrącać? »20-21



Wielu rodziców, troszcząc się o edukację
swojego dziecka, pragnie mieć wgląd w
to, co dzieje się w szkole i w jaki sposób
prowadzone są lekcje.

Coś pysznego
na zapusty »22-23

Ostatni dzień karnawału, wtorek ostatkowy,
czyli jak na Wileńszczyźnie częściej mówią
– zapustowy, naznaczony jest nadzwyczaj
obfitym i tłustym jedzeniem.

Niemieckie wybory. Wyrok
odroczony »24-25

To było referendum: za czy przeciwko
AfD. Doprowadził do tego świadomie
lider niemieckiej chadecji Friedrich
Merz, ale też – zapewne nieświadomie
– J.D. Vance i Elon Musk.

Niejednoznaczna postać
abp. Jalbzykowskiego »26-29



Litwini go nienawidzili jako
„polonizatora”, Rosjanie jako „bielo-
Polaka”. Prowadził ceremonię pogrzebu
Basanavičiusa, później także serca
marszałka Piłsudskiego. Z natury
porywczy i gwałtowny, ujarzmił
charakter samodyscypliną...

Pół wieku „Ziemi
obiecanej” »30-31

50 lat temu na ekrany weszła „Ziemia
obiecana” w reżyserii Andrzeja Wajdy,
na podstawie powieści Władysława
Reymonta. To dzieło ponadczasowe.

Czarna owca w słynnej
rodzinie malarzy »32-34



Simona pochodziła z klanu Kossaków,
więc siłą rzeczy miała rodowód
wybitny, wręcz arystokratyczny.
Wybrała mniej tradycyjną, acz
fascynującą ścieżkę...

Trzy pytania do...



...Alicji Dzisiejcz,

kustosz Muzeum Adama Mickiewicza
przy Uniwersytecie Wileńskim

1. W kościele św. św. Janów czynna jest wystawa „Adam Mickiewicz: od Wilna do Paryża”. Co pokaza- no na wystawie?

Celem wystawy jest przedstawienie życia i twórczości poety, który stał się ikoną literatury epoki romantyzmu. Adam Mickiewicz (1798–1855) to poeta, który pozostawił głęboki ślad na Uniwersytecie Wileńskim, postać historyczna mająca wielki wpływ na kulturę polską i litewską, osoba publiczna i światowej sławy poeta. Ekspozycja skupia się na latach 1815–1834 – od przybycia do Wilna do wydania w Paryżu poematu „Pan Tadeusz”. To najaktywniejszy okres twórczy Adama Mickiewicza, który przyniósł mu powszechne uznanie. W prawej nawie kościoła św. św. Janów przedstawione zostaną wybrane eksponaty ze zbiorów Muzeum Uniwersytetu Wileńskiego. Tworzymy chronologiczną narrację o życiu poety, ukazujemy środowisko, w jakim żył, okres jego studiów, prezentujemy też najważniejsze dzieła poety. Pierwszy w Wilnie pomnik Adama Mickiewicza wzniesiony w kościele św. św. Janów stał się integralną częścią ekspozycji.

Adam Mickiewicz
to poeta, który
pozostawił
głęboki ślad na
Uniwersytecie
Wileńskim, postać
historyczna mająca
wielki wpływ na
kulturę polską
i litewską.

2. Czy wstęp na wystawę jest biletowany?

Wstęp na wystawę jest wolny od poniedziałku do soboty w godz. 9–18. Wystawa potrwa do 30 grudnia br.

3. Czy można zwiedzać ekspozycję z przewodnikiem?

Możliwa jest rezerwacja wycieczki pt. „Życie i nauka studentów w XIX w. – Adam Mickiewicz”. Podczas wycieczki nie tylko szczegółowo omówimy wystawę, ale szukając śladów życia studentów z XIX w., a więc i Adama Mickiewicza, zwiedzimy kościół św. św. Janów oraz podwórka Uniwersytetu Wileńskiego. Wycieczka dla osób dorosłych kosztuje 8 euro, dla emerytów 4 euro, dla dzieci i studentów 2 euro. Dla osób towarzyszących grupie: pilotów, nauczycieli oraz dzieci w wieku poniżej 6 lat, wstęp jest wolny. Rezerwacja wycieczki drogą mejlową: amm@muziejus.vu.lt. ■

Rozmawiała Justyna Giedrojć

Wydarzenie sportowe



Uczcij pamięć o Żołnierzach Niezłomnych

12 kwietnia w Wilnie w parku Zakret (Vingis) po raz jedenasty odbędzie się Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym”. Uczestnicy będą mogli rywalizować na dystansach 1963 m, 5 i 10,5 km lub pokonać półmaraton.

Bieg „Wilczym Tropem” na stałe wpisał się w kalendarz wiosennych wydarzeń sportowych w Wilnie. Impreza z roku na rok cieszy się coraz większą popularnością. – Bieg „Tropem Wilczym” to doskonała okazja, by w aktywny sposób uczcić pamięć Żołnierzy Niezłomnych – prawdziwych bohaterów, którzy po II wojnie światowej nie złożyli broni i walczyli z komunistyczną okupacją. Tysiące Polaków i Litwinów, wiernych swoim ideałom, kontynuowało walkę o wolność swoich krajów. Dziś, gdy Ukraina z odwagą broni swojej niepodległości przed rosyjską agresją, pamięć o Żołnierzach Wyklętych i ich niezłomnych wartościach jest jeszcze bardziej aktualna – mówi chargé d'affaires a.i. Grzegorz Marek Poznański z Ambasady RP w Wilnie.

Trasa 1963 metrów symbolizuje pamięć żołnierzy, dla których wojna nie skończyła się w 1945 r., tych, którzy nie chcieli i nie potrafili pogodzić się z narzuconym ustrojem państwa i sowiecką dominacją. Ostatni Niezłomny Józef Franczak „Laluś” został zastrzelony w obławie jesienią 1963 r.

Start biegu na symbolicznym dystansie 1963 m o godz. 10, pozostałe konkurencje wystartują o godz. 10.30. Zwycięzcy w poszczególnych kategoriach wiekowych otrzymają pamiątkowe puchary, a wszyscy uczestnicy, którzy dotrą do mety – pamiątkowe medale. Organizatorami biegu w Wilnie są: Ambasada RP w Wilnie, polska młodzież na Litwie oraz stowarzyszenie „Sporto renginiai”.

Profil na Facebooku:

www.facebook.com/wilnotropemwilczym

Rejestracja i regulamin: sportorenginiai.lt





Trzecia rocznica agresji Rosji na Ukrainę: niepokój i nadzieja

24 lutego minęły trzy lata od rozpoczęcia niesprovokowanej pełnoskalowej agresji Rosji na niepodległą Ukrainę. Sama wojna rosyjsko-ukraińska trwa zaś od 2014 r., kiedy to imperialne siły Putina zaanektowały Krym i część wschodniego terytorium Ukrainy. Jak przyznawali rozmówcy „Kuriera Wileńskiego” w poprzednim magazynie, kraj jest wyczerpany i zniszczony, ale jego mieszkańcy nie przejawiają nastrojów kapitulanych.

W poniedziałek 24 lutego br. Wilno wyraziło swoją solidarność z walczącą Ukrainą. Miasto mieniło się błękit-

nymi i żółtymi barwami. Do Kijowa udała się zaś grupa przywódców państw Europy i UE, m.in. z prezydentem Litwy Gitanasem Nausėdą. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski konsultował się z nimi w kwestii stanowiska, które miał przedstawić w Waszyngtonie, na spotkaniu z Donaldem Trumpem. To spotkanie odbyło się w czwartek 27 lutego, już po zamknięciu tego wydania magazynu.

Fot. Žygimantas Gedvila, ELTA; Robertas Dačkus, lrp.lt



Nie wystarczy skandować o Niezłomnych

Rajmund Klonowski

Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” ustanowiony został i dawno, i niedawno – zaledwie półtorej dekady temu. I chociaż w ciągu tego czasu zmieniło się naprawdę wiele rzeczy – udaje się odnaleźć i godnie pochować szczątki niektórych bohaterów, prowadzone są wreszcie badania historyczne odkłamujące różne mity czasów okupacji – to także wiele rzeczy nie ulega zmianie.

Wznoszone na manifestacjach okrzyki „Żołnierze Wyklęci – cześć ich pamięci!” przechodzą ciarkami po plecach, ale czy towarzyszy im refleksja nad tym, o co walczyli i w imię czego ginęli żołnierze podziemia niepodległościowego?

Czy walczyli o to, żebyśmy mieli wolność regularnego upijania się w sztok? Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” podczas ostatniego spotkania, przed egzekucją, ze swoją narzeczoną Lidią Lwow „Lalą” powiedział do niej: „Ucz się i wyjdź za mąż”. Jeszcze niedawno (dożyła pięknego wieku 100 lat i odeszła w 2021 r.) można było ją osobiście zapytać, czy kiedykolwiek widziała majora pijanego. I czy walczył on o wolność rozumianą w taki sposób, żebyśmy my, ludzie XXI w., mogli się regularnie upijać do nieprzytomności

Czy towarzyszy nam refleksja nad tym, o co walczyli i w imię czego ginęli żołnierze podziemia niepodległościowego?

czy żebyśmy mieli legalne narkotyki.

Gdybyśmy mogli zapytać Witolda Pileckiego – legendarnego Rotmistrza, dzięki któremu świat dowiedział się prawdy o okropieństwach niemieckiego obozu Auschwitz, a którego ciała nadal nie odnaleziono – czy walczył o to, by na ulicach i uniwersytetach Europy mógł szaleć antysemityzm, a studenci organizowali „sądy” nad profesorami za „nieprawomyślne” wypowiedzi w mediach; co by odpowiedział?

Co oni wszyscy – którzy walczyli o wolność i polskość, którzy także mieszkańców Wileńszczyzny bronili przed wywózkami i wcielaniem do kołchozów, którzy razem z litewskimi partyzantami rozbijali więzienia NKWD w 1945 r. – by powiedzieli na uporczywą rusyfikację polskich dzieci w polskich szkołach, na trwanie rosyjskiej polityki zniekształcania polskich nazwisk w litewskich dokumentach, na budynek polskiego teatru, w którym wystawia się sztuki rosyjskich reżyserów, popierających i wspierających rosyjski imperializm?

Grzanie się w blasku historycznych bohaterów nic nie kosztuje, ale pamiętać trzeba, że byli to ludzie, do których musimy dorosnąć – i podjąć wysiłek bycia godnymi stania w ich świetle.



Trump w akcji. Niestety

Artur Płocki

Pierwszy miesiąc działań Donalda Trumpa w stosunku do Europy można określić krótko: katastrofa. Stary Kontynent został odesłany do lamusa, negocjacje dotyczące zakończenia wojny na Ukrainie prowadzone są bez jego udziału (choć wojna rozgrywa się w Europie). Europa w oczach Trumpa to konglomerat upadających państw niezdolnych do podjęcia twardszej reakcji. Tak jest w istocie, ale to nie usprawiedliwia tego, co w tej chwili dzieje się pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem.

Trump dąży do zakończenia wojny na Ukrainie, całkowicie przejmując rosyjską narrację. Nie bierze pod uwagę tego, kto rozpoczął wojnę, postrzega ją jako konflikt biznesowy, w którym dwie strony pokłóciły się z jakiegoś powodu (kiosku na bazarze...). Jego światopogląd pokazuje stwierdzenie, że Ukraińcy mieli trzy lata na porozumienie się z agresorami. Tak samo mógłby powiedzieć o Holokauście – Żydzi też mieli pięć lat na porozumienie się, ale z niejasnych powodów tego nie zrobili i kar nie pomaszerowali do komór gazowych.

W tej chwili „sztuka negocjacji” Trumpa polega na brutalnym zmuszaniu Ukrainy do kapitulacji.

Szok jest nie tylko w europejskich stolicach, tak samo zaskoczeni są Rosjanie, którzy w najbardziej fantastycznych snach nie mogli sobie wyobrazić takiej sytuacji. Trzeba błyskawicznie pisać nowe instrukcje dla propagandystów, nawet szybko uwolnić jakiego idiotycznego turystę ze Stanów, który pojawił się na lotnisku w Moskwie z ciastkami zawierającymi konopie. Normalnie już rąbałby las na Syberii.

Trump w swoich wypowiedziach opowiada wierutne bzdury, nazywając prezydenta wojującego państwa dyktatorem, podając astronomiczne liczby amerykańskiej pomocy dla Ukrainy, zgłaszając pretensje do Grenlandii, Kanady czy Kanału Panamskiego. W ogóle sprawia wrażenie człowieka nierozróżniającego cyfr, zaś przeświadczenie o sobie jako geniuszu negocjacji (napisał taką książkę, złośliwi pytają, czy ją przeczytał do końca...) nie jest niczym podparte. W tej chwili jego „sztuka negocjacji” polega na brutalnym zmuszaniu Ukrainy do kapitulacji. Prawdopodobnie wynika to z panicznego strachu przed wojną jądrową i dlatego wywiera maksymalny nacisk na Ukrainę, bo jest słabsza, zaś los tego i innych państw europejskich w ogóle go nie obchodzi. Rosji nie zaczyna, przynajmniej publicznie.

Przypuśćmy, że cel osiągnie i agresor odniesie zwycięstwo, zagarnie kawał Ukrainy, sankcje zostaną zniesione i Moskwa będzie mogła bez paniki przygotować się do nowej agresji. Potem po prostu zażąda od Trumpa, by oddał Pribaltykę...



Nie mieszajcie ich do polityki!

Jarosław Tomczyk

Od 14 lat 1 marca jest w Polsce Narodowym Dniem Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Świętem państwowym poświęconym upamiętnieniu żołnierzy antykomunistycznego i niepodległościowego podziemia. Pomysł wyszedł od Janusza Kurtyki, prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, który zginął w katastrofie smoleńskiej.

To prezes Kurtyka przypomniał, że 1 marca 1951 r. w więzieniu na warszawskim Mokotowie wykonano wyroki śmierci na siedmiu członkach IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”: Łukaszu Cieplińskim, Mieczysławie Kawalcu, Józefie Batorym, Adamie Lazarowiczu, Franciszku Błazeju, Karolu Chmielu i Józefie Rzepce. Byli oni ostatnimi ogólnopolskimi koordynatorami „walki o Wolność i Niezawisłość Polski z nową sowiecką okupacją”.

Kiedy rodziła się inicjatywa ustanowienia święta, wspierały ją solidarnie obydwie główne siły na polskiej scenie politycznej. Później jednak politycy zrobili Wyklętym wiele krzywdy. Jakby jeszcze zbyt mało doświadczili jej za życia, zostali wciągnięci w polsko-

Żołnierze Wyklęci to bohaterowie, którzy mieli odwagę nie złożyć broni przed sowieckim potworem.

-polski spór, w którym jedni przed drugimi wyciągali ich na sztandary, by dowieść, że są większymi patriotami niż konkurenci. Zatracano się w tym tak dalece, że przeciętny obserwator mógł odnieść wrażenie, iż jedna z partii to w linii prostej potomkowie pomordowanych przez ubecję, a druga to potomkowie tejże. Że każdy z Wyklętych to rycerz bez skazy, albo wręcz przeciwnie, bandzior i morderca.

Prawda zdawała się obchodzić niewiele. Nijak nie mogła i w gruncie rzeczy wciąż nie bardzo może przebić się do powszechnej świadomości. A przecież wydaje się zupełnie oczywista. Żołnierze Wyklęci to wielcy bohaterowie, którzy mieli odwagę nie złożyć broni przed sowieckim potworem i walczyć straceńczo o wolność swojej ojczyzny, za co płacili najczęściej życiem. Ale i wśród nich trafiali się czasem członkowie o mniej szlachetnych charakterach, którzy dopuszczali się rzeczy niegodnych pochwały. Rzecz normalna i stara jak świat. Nijak jednak nie powinno to przyćmiewać bohaterstwa i zasług, tak jak nie przyćmiewa chwały Armii Krajowej czy ruchu „Solidarności” fakt, że i w ich szeregach trafiali się donosiciele czy zdrajcy.

Żołnierzom Wyklętym należy się cześć i dobrze, że walkę o nią biorą na siebie często zwykli ludzie. Oddolni społecznicy organizujący biegi czy marsze ich pamięci, kreujący różne inne formy przypominania o prawdziwych bohaterach. Wychodzi im to zdecydowanie lepiej niż politykom, którzy chyba powinni trzymać się od tych spraw z daleka.

KURIER
WILEŃSKI

Prenumerata 2025

na kolejny miesiąc oraz do końca br.

trwa do 28 dnia każdego miesiąca

Wydanie codzienne (kod 0044)

Na miesiąc 10,00 €

Na 6 miesięcy 54,00 €

Na rok 105,00 €

Wydanie magazynowe (kod 0172)

Na miesiąc 4,00 €

Na 6 miesięcy 21,00 €

Na rok 40,00 €

Dla osób niepełnosprawnych oraz emerytów

Wydanie codzienne (kod 0227)

Na miesiąc 9,00 €

Na 6 miesięcy 49,00 €

Na rok 93,00 €

Prenumerata dla czytelników za granicą

Wydanie codzienne

Na miesiąc 20 €

Na 6 miesięcy 120 €

Na rok 240 €

Wydanie magazynowe

Na miesiąc 10 €

Na 6 miesięcy 60 €

Na rok 120 €

„Kurier Wileński” można zaprenumerować:

- w każdym urzędzie pocztowym (Lietuvos paštas);
- drogą elektroniczną: www.prenumeruok.lt;

Zasięgnąć informacji można pod nr. tel. (8-5) 260 84 44, Birbinių g. 4A, LT-02121 Vilnius, kolport@kurierwilenski.lt, www.kurierwilenski.lt

Kaziuki-Wilniuki – pierwsze w Polsce i jedyne. Od początku pod patronatem „Kuriera Wileńskiego”

Krystyna Adamowicz

Przeżywamy piękny tydzień wesołych zabaw, miłych chwil, miłosnych przeżyć, żartów, dowcipów. Jest to tydzień, w którym mieści się 4 marca. Każdej zbliżającej się wiosny z Wilna wyrusza do Polski ekipa artystów, mistrzów rzemiosł sztuki ludowej: palmiarek, cukierników serc lukrowanych, rzeźbiarzy w drewnie, malarzy. To Kaziuk Wileński jedzie z Ziemi Wileńskiej na Warmię i Mazury. Tak jest już od ponad 35 lat.



Kaziukowa ekipa przed zamkiem w Lidzbarku Warmińskim Fot. archiwum K.A.

Kaziuki-Wilniuki są jedyne w Polsce. Niektórych to stwierdzenie dziwi. Mam na myśli nazwę święta, nadaną przez lidzbarczan, gdy mieszkańców tego urokliwego zabytkowego miasta tuż po wojnie los tu zarzucił. Wyjechali z Wilna, ale z Wilnem nie mogli i nie mogą się rozstać. Własnymi siłami, nieco skromnie, odtwarzali święto św. Kazimierza, a nazwali je bardzo sympatycznie i swojsko: Kaziuki-Wilniuki.

Ta nazwa na Warmii i Mazurach trwa lata. Dziękuję tym, którzy stali się pomysłodawcami Kaziuków-Wilniuków z udziałem wileńskich artystów i pod patronatem redakcji polskiej gazety „Kurier Wileński”. Byli to ludzie oddani swej Ojczyźnie – Wileńszczyźnie.

Na Litwie i w Polsce był to okres zbliżających się przemian politycznych i społecznych. Delegacja z Lidzbarka w osobach śp. Alicji Gdańskiej i Władysława Strutyńskiego przybyła w roku 1989 do redakcji polskiej gazety „Czerwony Sztandar”, z prośbą o zorganizowanie ekipy autentycznego Kaziuka.

Podjęliśmy się tego zadania. Pierwszy wyjazd ekipy kaziukowej z Wilna zorganizował już nie „Czerwony Sztandar”, ale „Kurier Wileński”. Pod patronatem polskiej gazety trwa do dziś.

Od czego zacząć tworzenie eksportowego Kaziuka, który w sowieckich czasach był zakazany? Przyszły nam do głowy zwłaszcza palmy wileńskie, cudowne »

Jeszcze tylko o naszych niezastąpionych gawędziarzach – Ciotce Franukowej i Wincuku Bałbatunszczyku. Bez nich nie do pomyślenia byłoby żadne spotkanie kaziukowe. Ileż dowcipu, zabawnych powiedzonek, opowieści patriotycznych!

dzieła rąk i serc naszych kobiet wsi podwileńskich.

Razem z koleżanką redakcyjną, śp. Heleną Gładkowską, rozpoczęliśmy od poszukiwania domów na wsi, gdzie te dzieła artystyczne są wite. Zaczęliśmy od wsi podwileńskich Krawczun i Nowosiołki. Zasy pniegu nie były przeszkodą, aby zajrzeć do jednej czy drugiej chatki.

O tych, którzy znani są nie ze sceny

Zauroczyły nas palmy Jadwigi Kunickiej z Krawczun oraz Danuty Wiszniewskiej z Nowosiołek. Trafiłyśmy w sam raz. Te serdeczne podwileńskie kobiety są palmiarkami z dziada pradziada. Matka pani Jadwigi pamiętała przybycie do Krawczun wybitnego artysty malarza, rzeźbiarza, konesera sztuki Ferdynanda Ruszczyca, który piękno, jakimi są palmy wileńskie, nagłośnił niemal w całym świecie.

Kontynuatkami tego piękna Ziemi Wileńskiej są Leokadia Kunicka-Szałkowska i Agata Wiszniewska-Granicka. Ich prace, palmy, są znane na całym świecie i cieszą się ogromnym powodzeniem. Są to tytułowane mistrzynie swego dzieła. Lidzbark wpisał się również w ich życie od samego początku na Warmii i Mazurach do dziś. Każdego roku.

Są z nami bardzo mili ludzie w osobach Anny i Alvydasa Gryszkiewiczów. Ich dzieło sztuki to przepiękne piernikowe serca. „Serca kaziukowa dają, bo na złotnia mnie nie stają” – śpiewano na jarmarku kaziukowym. Tworzą dzieła sztuki z maki i lukru. Alvydas jest rodzowym piekarzem wyrobów cukierniczych. Jego dziadkowie przed

wojną prowadzili cukiernię z własnymi wyrobami. Była ta cukiernia przy ul. Wileńskiej w Wilnie.

Wyroby z drewna Michała Jankowskiego to też prawdziwe dzieła sztuki. Przywozi na jarmark kaziukowy nie tylko przepiękne „ptaki”, ale też rzeźbione „smętki”, przydrożne „kapliczki”, wyroby dekoracyjne czy użytku domowego. Jest tytułowanym mistrzem wyrobów snycerskich.

Na jarmarku zawsze są malarze wileńscy pod egidą Związku Twórczego Artystów Malarzy Polskich „Elipsa”, którego teraz szefową jest Danuta Lipska, uzdolniona malarka. Prace poszczególnych malarzy upiększają dziś mieszkania lidzbarczan, a obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej, dzieło byłego prezesa „Elipsy” śp. Władysława Ławrynowicza, upiększają wnętrza kościołów w Lidzbarku, Mragowie, Ornecie. Wilnianie przychodzą tu pomodlić się przed wileńską Matką.

Przedstawiciele mistrzów sztuki ludowej nie bywają na scenie, ale są bardzo oczekiwani przez widzów.

Pierwszy transport

Tak więc w roku 1990 przybyła pierwsza ekipa kaziukowego święta. Oprócz wyrobów mistrzów w autokarze drugim jechali artyści. Pierwszymi byli artyści zespołu młodzieżowego „Świtezianka” z Wileńskiej Szkoły Średniej nr 29, dziś Gimnazjum im. Szymona Konarskiego, oraz inne



Maestro Zbigniew Lewicki, wirtuoz skrzypiec, też grywał na koncertach kaziukowych **Fot. archiwum K.A.**

wówczas dopiero powstałe, m.in. grupa taneczna „Modulis” z Podbrodzia.

W pierwszym przybyciu do Lidzbarka przygód nie zabrakło. Jeszcze była granica i żołnierze pogranicza tu rej wodzili. Nie rozumieli, co to za „towar” wieziemy z kwiatków suszonych. Dopiero gdy obdarowaliśmy celników takim „towarem”, otworzyli przejazd.

Jedziemy dalej, już Lidzbark. Nasze autokary zatrzymały się przy... koszarach. Byłych koszarach, jednak nadal wszystko zostało niczym dla żołnierzy – dwu-, a nawet trzypiętrowe łóżka, zimnawo było, ale żarty nie milkły, piosenki też. »



By wystąpić na Kaziuku, zostali zaproszeni weterani zespołu „Wilia”. Spisali się pięknie **Fot. archiwum K.A.**



Poświęcenie sztandaru „Kuriera Wileńskiego” na 50-lecie istnienia pisma, 2003 r. Ekipa dziennika składa dziękczynienie m.in. za wszystkie kaziukowe spotkania pod patronatem redakcji **Fot. Marian Paluszkiewicz**



Ciotka Franukowa i Wincuk z Pustaszyszek to swoisty symbol Kaziuków Wileńskich **Fot. archiwum K.A.**

Przy tym rozmieszczaniu naszej 70-osobowej ekipy powitała nas młodziutka pracowniczka Domu Kultury Jolanta Adamczyk. Przez wszystkie nasze przyjazdy była i jest naszym dobrym duszkiem. Zmieniały się jej stanowiska, w tym była dyrektorką Domu Kultury, ale Kaziuki-Wilniuki były zawsze na pierwszym miejscu. Dziękujemy, Jolu, za twoją troskę

o nas, swoich rodakach, też jesteś z rodziny wileńskiej.

Nieoczekiwanie do portierni zostali zawołani Jankowscy, ci od rzeźby w drewnie. O co chodzi? Poszli, a tam czeka na nich grupa osób. To rodzina, która mieszka w Polsce. Radość niesamowita, bo nie widzieli się i nawet nie znali się z powodu żelaznej kurtyny długie dziesięciolecia.

Pomoc w trudnej chwili

Jarmark kaziukowy już jest na stoiskach. Jeszcze tylko słów kilka o naszych niezastąpionych gawędziarzach – Ciotce Franukowej i Wincuku Bałbatunszczyku. Bez nich nie do pomyslenia byłoby żadne spotkanie kaziukowe. Ileż dowcipu, zabawnych powiedzonek, a jednocześnie, gdy wymaga tego chwila i podpowiada serce, Ciotka Franukowa, prywatnie pedagog, polonistka Anna Adamowicz, z ogromnym wzruszeniem mówi o patriotyzmie, o tym, że serca wilniuków są podzielone na wpół.

„Od tych słów może człowiekowi serce pęknąć” – powiedziała aktorka Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, wilnianka Irena Telesz.

Wincuk Bałbatunszczyk z Pustaszyszek, wspaniały Dominik Kuziniewicz, miał tu swoją trudną przygodę. Pewnego roku przybył na Kaziuki-Wilniuki po operacji amputacji nogi. Ale przybył i wystąpił, przy koleżeńskej pomocy swojej partnerki scenicznej Ciotki Franukowej. Pomoc była mistrzowska. Obecni na sali posłowie, goście z różnych miast Polski proponowali pomoc w leczeniu, niektórzy też finansową. Dominik Kuziniewicz, czyli Wincuk, z wdzięcznością pamięta te chwile, przeżyte w Lidzbarku podczas Kaziuków-Wilniuków.

Nie zapomnimy pomocy pana Jacka Protasa, który też w ciągu naszych ponad 30 lat współpracy z Kaziukami był z nami jako przewodniczący Rady Lidzbarku Warmińskiego, jako marszałek warmińsko-mazurski i obecnie jako europoseł jest z nami każdego roku. Nawet gdy wilnianie walczyli o zachowanie gmachu legendarnej szkoły na wileńskim Antokolu, również razem z nami walczył.

Redakcja punktem przesyłkowym

Organizatorom Kaziuków zawsze chodziło nie tylko o przeprowadzenie zabawy kiermaszowej, ale też by mogli coś wartościowego zrobić dla Polaków Wileńszczyzny, którzy przez lata powojenne żyli za żelazną kurtyną, nie mogli przyjechać na ziemię swych ojców – Wileńszczyznę.

Pierwsze wyjazdy kaziukowe na Warmię szczególnie się zapa- »

miętały. Niejednokrotnie w drodze powrotnej nasze autokary były punktem przesyłkowym do Wilna, a redakcja „Kuriera Wileńskiego”, jako patron Kaziuków-Wilniuków, była punktem przesyłkowym – książki, przybory szkolne, ubrania przekazywaliśmy adresatom na Litwie i innych krajów, gdzie rozpoczynali swoją działalność miejscowi Polacy.

Była też piękna akcja, do której z ogromnym zaangażowaniem włączył się cały Lidzbark. Chodzi o pomoc polskiej Kieńskiej Szkole Podstawowej w rejonie wileńskim. Na jedno ze spotkań kaziukowych przybyła dyrektorka tej szkoły Eleonora Koleśnik. Opowiedziała organizatorom święta, że ta ich maleńka, ale potrzebna szkoła jest w opłakanym stanie. Dzieci w niej uczą się w zaadaptowanych pomieszczeniach gospodarskich, brakuje elementarnych rzeczy do nauki. Już w roku kolejnym czekały na nas ogromne paki różnorodnych niezbędnych do nauki pomocy. Rzucone w Lidzbarku hasło: „Pomóżmy polskiej szkole w rejonie wileńskim”, przerodziło się w wielką akcję nie tylko w Lidzbarku, ale też w Olsztynie. Z serduszkami dla polskiej szkoły dzieci zbierały datki przed mszą świętą w kościele. Było tego wiele, nawet odremontowano gmach szkolny. Dzięki Towarzystwu Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej z prezesem prof. Zbigniewem Jabłonowskim na czele dzieciom kieńskim zafundowano nowoczesny jak na tamte czasy telewizor oraz piękne wakacje w Polsce.

To wszystko Kaziuki-Wilniuki, ukończone święto z Wilna przywiezione. Prof. Zbigniew Jabłonowski kochał Wilno obłędnie, zatrzymywał się w swojej wędrówce przy starych domach wileńskich. Na małej Pohulance przy wielopiętrowym gmachu zatrzymał się ze szczególnym wzruszeniem. „To Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta, moje gimnazjum” – wyszeptał. Był wtedy prezesem Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Olsztynie.

Pierwsze lata naszych Kaziuków w Lidzbarku to czas, gdy powstawały towarzystwa miłośników wielu kresowych miejscowości, skąd pochodzą ich korzenie. To właśnie miłośnicy byli inicjatorami kameralnych spotkań wileńskich artystów, wystaw malarstwa

Tuż po wojnie Wilnian los rzucił m.in. do Lidzbarka Warmińskiego. Wyjechali z Wilna, ale z Wilnem nie mogli i nie mogą się rozstać. Własnymi siłami, nieco skromnie, odtwarzali święto św. Kazimierza, a nazwali je bardzo sympatycznie i swojsko: Kaziuki-Wilniuki.

i fotografii. To nasza rodaczka z Wilna, wspaniała dziś aktorka Joanna Moro, wtedy gdy była jeszcze gimnazjalistką Gimnazjum im. Adama Mickiewicza i aktorką teatru szkolnego, po raz pierwszy wystąpiła „za granicą”, a był to Lidzbark. Podobnie ówczesna kierowniczka przepięknego zespołu „Sto Uśmiechów” Marzena Grydź nie ukrywała, że ich zespół też jest po raz pierwszy za granicą. Ogromne podziękowanie składamy wspaniałej pani Janinie Sugał, która z ramienia Towarzystwa Miłośników Ziemi Wileńskiej i Nowogródzkiej w Szczycie pokładała wiele sił, aby należycie przyjąć gości z Wileńszczyzny.

Podziękowania

Szanowni Rodacy! Ci, którzy w dalekich czasach sowieckich wyjechali do różnych miejscowości Polski! Dziękujemy Wam bardzo, że nie zapomnieliście swojej Ojczyzny.

wizny, że dbacie o pamięć o niej, przekazując to swoim dzieciom i wnukom. Niech te wspomnienia o tym, jak odnowiły się po wojnie stosunki między nami, będą dobrą pamiątką dla kolejnych pokoleń.

Mijają czasy, ale pamięć powinna trwać. Osobiście szczerze dziękuję za te spotkania jako koordynatorka z ramienia „Kuriera Wileńskiego”, patrona Kaziuków, które trwały 35 lat i będą trwać nadal w innym, młodszym składzie. Jestem bardzo wdzięczna obecnemu kierownictwu Lidzbarskiego Domu Kultury, dyrektorki Katarzynie Radulewicz, wilmiance z pochodzenia, za objęcie na dalsze lata miłych naszemu sercu spotkań kaziukowych. Dziękujemy kierownictwu Lidzbarka Warmińskiego, burmistrzowi Jackowi Wiśniowskiemu za wsparcie tak miłej imprezy sercem pisanej, za wsparcie tak wspaniałego wydarzenia, które przywozi rodakom zapachy i smaki dawnej Wileńszczyzny.

Jesteśmy nawzajem sobie potrzebni!

Krystyna Adamowicz, dziennikarka, koordynatorka Kaziuków-Wilniuków ze strony wileńskiej.



Organizatorzy akcji pomocy dla Kieńskiej Szkoły Podstawowej w rejonie wileńskim. W drugim rzędzie od prawej – dyrektorka szkoły Eleonora Koleśnik Fot. archiwum K.A.

Przyjechałam do Wilna z moim sercem

Rozmawiała Justyna Giedrojc

Księżna Elżbieta Drucka Lubecka de Séjournet przyjechała z Belgii, aby opiekować się chorymi w Hospicjum bł. ks. Michała Społki w Wilnie. W rozmowie z „Kurierem Wileńskim” opowiada o swoich doznaniach, o ludziach, których tu spotkała, o Janie Pawle II, który jest dla niej wielkim autorytetem. Francuski akcent nadaje nieskazitelnej polszczyźnie księżnej subtelny urok.



W 2024 r. za szczególne zasługi i zaangażowanie w duszpasterstwo polonijne księżna Elżbieta Drucka Lubecka de Séjournet została uhonorowana Medalem „Pro Polonia et Ecclesia” **Fot. Marian Paluszkiewicz**

Co skłoniło Panią do podjęcia wolontariatu?

Miałam cudowne i szczęśliwe życie. Były oczywiście także trudniejsze chwile, ale ja dostałam naprawdę wiele łask. Na swojej życiowej drodze spotkałam cudownego Pierre’a de Séjournet, mojego męża, który dał mi cztery wspaniałe córki. Wszystkie dzisiaj są mężatkami i mają dzieci, cięsz się więc wnukami. Mam dziewięcioro wnuków, lada moment być może będzie prawnuczek, bo jedna z moich wnuczek wyszła za mąż trzy miesiące temu. W pewnym momencie uznałam, że muszę swoim szczęściem się podzielić. Stwierdziłam, że jeżeli dziś nie zrobię czegoś konkretnego w podzięce dla Pana Boga, to więcej nie

nadarzy się okazja. Od kilku lat w Brukseli odwiedzałam Małe Siostry Ubogich, pomagałam przy starszych osobach.

W jaki sposób dowiedziała się Pani o wileńskim hospicjum?

Przed sześciu laty z moją znajomą z Polski przyjechałam na wycieczkę do Wilna. Była to podróż przez Litwę i Białoruś, gdzie też mam korzenie rodzinne. W Wilnie spotkałam siostrę Michaelę, odwiedziłam hospicjum. Byłam pod bardzo wielkim wrażeniem. Mówi się, że jest to dom dla umierających, ale to nieprawda. Jest to miejsce dla ludzi, którzy chcą żyć do końca, i ten dom im cudownie pomaga. Wówczas postanowiłam, że przyjadę tu na

kilka miesięcy oraz w miarę moich możliwości i sił będę pomagać. Nie jestem ani pielęgniarką, ani lekarzem, przyjechałam tu z moim sercem. Ciągłe odczuwam tutaj radość i piękno, ludzie tu są spokojni, dzielni, uśmiechają się. W każdym razie jako wolontariusz staram się, żeby jak najczęściej się uśmiechali. Siedzę przy chorych, trzymam ich za rękę, słucham ich, co jest może najważniejsze. Nadzieja w nich jest ciągle żywa, człowiek kocha życie.

Co Pani daje praca w hospicjum?

Dla mnie są to rekolekcje. Mam nadzieję, że przynoszę tym ludziom coś dobrego. Wydaje mi się, że kiedy wyjadę, zostawię tutaj swoje przyjaciółki. »

Dużo rozmawiamy. Są tu ludzie, którzy prędzej czy później umrą, tak jak my wszyscy. Już cztery osoby, przy których siedziałam, odkąd tutaj jestem, umarli. I zawsze jest smutek, nawet gdy rozumiem, że dla nich tak jest lepiej – odnaleźli swoich bliskich i już nie cierpią.

Co powiedziałyby Pani osobom, które jeszcze wahają się przed podjęciem decyzji dołączenia do grona wolontariuszy w hospicjum?

Jeżeli ktoś odczuwa strach przed śmiercią, to raczej nie jest jeszcze gotowy. Jesteśmy w tym życiu pielgrzymami, wiemy przecież, że nie będzie trwało wiecznie. Oczywiście śmierć to zawsze smutne, bo traci się kogoś, kogo się kocha. Dostę często zdarzało mi się być przy ludziach umierających, trzymałam za rękę ojca, kiedy umierał. Był w nim wielki spokój, bo odchodził do Pana Boga. Miałam też wielu przyjaciół, przy których byłam do końca. Zawsze był smutek, ale strachu na pewno nie. Śmierć przecież jest częścią życia. Myślę, że jest straszniejsza dla ludzi bez wiary, którzy umierają bez nadziei, niż dla tych, którzy są przy nich. Bardzo często, gdy ktoś umiera w wypadku czy nagle na zawał serca, ludzie mówią, że to piękna śmierć. Ja absolutnie tak nie uważam. Chcę wiedzieć, że umieram, chcę pożegnać się z moimi dziećmi. Nie wiedziałam, kiedy się rodziłam, ale chcę wiedzieć, kiedy umieram.

Czy w międzyczasie udało się Pani zwiedzić Wilno?

Raz wyszłam na miasto, kiedy do Wilna przyjechała moja córka. Byłyśmy w cudownych kościołach. Szczególnie piękny jest kościół Ducha Świętego z niesamowitym, godnym podziwu barokiem, nie wiadomo, co najpierw tam oglądać. Stare Miasto utula człowieka, jest piękne. To jest zadziwiające, że w Wilnie ludzie na ulicy rozmawiają po polsku. W moim życiu dużo podróżowałam. Zauważyłam, że miasta często duszą człowieka. W Wilnie zupełnie nie mam takiego odczucia.

Od jak dawna mieszka Pani w Belgii?

Moja rodzina mieszkała w Górach Świętokrzyskich, w majątku Bałtów. Musieliśmy opuścić Polskę w 1945 r. Były to trudne czasy. Uciekaliśmy od Rosjan. Ojciec słyszał straszne historie o okrucień-

stwach okupantów – gwałtach, mordach, rabunkach. Najpierw pojechaliśmy do rodziny do Niemiec. Nie było łatwo, bo Niemcy i Polska nie były zaprzyjaźnionymi państwami. Mój ojciec, który znał kilka języków, pomagał tam uchodźcom. Zanim nie wyszłam za mąż, też byłam identyfikowana jako uchodźca wojenny, taki wpis miałam w swoim paszporcie. Po jakimś czasie wyjechaliśmy do Francji. Spędziliśmy tam 10 lat. Mieszkaliśmy w wielu miastach: Tuluzie, Lyonie, Lille. Całe dzieciństwo spędziłam w internatach. Ale w domu rozmawialiśmy wyłącznie po polsku. We Francji spotkaliśmy pewnego hojnego Belga, który kiedy dowiedział się, że nasza rodzina, w której było pięcioro dzieci, nie ma gdzie mieszkać, przyjął nas w Belgii. Tam już się zakorzeniliśmy. Uczyłam się w szkole, moje siostry też. Kiedy miałam 17 lat, zmarł ojciec. W wieku 20 lat wyjechałam do Stanów Zjednoczonych. Spędziłam tam pięć lat, a kiedy wróciłam, poznałam swego przyszłego męża. Mama zmarła w Brukseli, kiedy urodziłam już wszystkie swoje dzieci. Przeżyła ojca o 20 lat.

Pochodzi Pani z książęcego rodu Druckich Lubeckich. Proszę przybliżyć historię swojej rodziny.

Ród nasz wywodzi się z Rusi i istnieje już tysiąc lat. Mój prapradziadek Franciszek Ksawery Drucki Lubecki (1779–1846) był ministrem finansów Królestwa Polskiego, założył Bank Polski. Studiował, zresztą jak mój ojciec, w Petersburgu. Pochowany jest na Białorusi. Dawniej rody litewskie, polskie, białoruskie łączyły się w jedno. W Wilnie w różnych miejscach są znaki mojej rodziny. To jest niesamowite. W kościele św. Mikołaja natrafiłam na nasz herb rodowy Druck – na czerwonej tarczy miecz, po bokach cztery złote księżycy, po dwa z każdej strony.

Opuściła Pani Polskę jako małe dziecko. Po ilu latach przyjechała Pani do kraju?

Do Polski pojechałam pierwszy raz na początku lat 80., kiedy wprowadzono stan wojenny. Założyłam stowarzyszenie, które niesło pomoc Polakom w tamtych trudnych czasach komunizmu i stanu wojennego. Organizowaliśmy w Belgii pomoc humanitarną. Pomagaliśmy polskim rodzinom w trudnej sytuacji ekonomicznej.

Wieżliśmy kilka ciężarówek leków, ubrania, żywności. Muszę powiedzieć, że moje serce mocno biło, kiedy po wielu latach przyjechałam do Polski. Był stan wojenny, warunki były ciężkie, a ludzie mimo to byli mili i gościnni. Było to wielkie przeżycie. Zostałam poproszona o zorganizowanie XVIII Międzynarodowego Kongresu Rodziny w Warszawie w 1994 r. Miałam doświadczenie, bo wcześniej uczestniczyłam w takim kongresie w Brukseli. To było niesamowite wydarzenie, które skupiało się na rodzinie i jej chrześcijańskich wartościach. W Pałacu Kultury i Nauki zebrało się 12 tysięcy osób, byli prelegenci z Polski i innych krajów. Wszystko to zrobiłam z bliską znajomą hrabiną Jolantą Mycielską, z którą współpracowałyśmy przez wiele lat.

W jaką działalność społeczną jest Pani zaangażowana obecnie?

Jestem przewodniczącą belgijskiego koła Fundacji Jana Pawła II. Ta działalność zajmuje mi sporo czasu, dlatego było trudno zdecydować się na trzymiesięczny wyjazd do Wilna. Uznałam jednak, że zawsze znajdzie się ktoś, kto mnie zastąpi, wykona pracę może nawet lepiej ode mnie.

Kiedy wraca Pani do Belgii?

W Wilnie będę do 29 marca. Potem jadę do Warszawy, a następnie do Lublina. Poproszono mnie, żebym wystąpiła tam ze świadectwem o Janie Pawle II. Miałam szczęście, że spotkałam papieża. Zaprosił mnie z wiceprzewodniczącą Fundacji Jana Pawła II hr. Jolantą Mycielską na kolację w Watykanie. Byliśmy tylko we czwórkę: Ojciec Święty, Jolanta, ja i ks. Stanisław Dziwisz. To było niezapomniane wydarzenie, dla mnie to był prezent na całe moje życie. Było to moje drugie spotkanie z Ojcem Świętym. Po raz pierwszy spotkałam go w 1994 r., kiedy przygotowaliśmy Kongres Rodziny w Warszawie.

Gdzie obecnie mieszka Pani rodzina?

Dziś cała nasza rodzina mieszka w Belgii. To wielkie szczęście, bo był moment, kiedy wszyscy byli porozrzucani po świecie. Dwie moje córki znają język polski, jedna jest tłumaczką z polskiego na francuski. Mimo że opuściłam Polskę, mając dwa lata, moje serce zawsze było, jest i będzie polskie. ■

Zaraz po papieżu. Litwa szczyli się dziś trzema purpuratami

Antoni Radczenko

Litwa ma obecnie aż trzech księząt Kościoła, czyli kardynałów. – Taka sytuacja zaistniała pierwszy raz w historii Kościoła katolickiego w naszym kraju – podkreśla sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Litwy ks. Kęstutis Smilgevičius.



Abp Audrys Bačkis to najstarszy z litewskich kardynałów. Biret kardynalski wręczył mu jeszcze Jan Paweł II w 2001 r.

Fot. Dainius Labutis, ELTA

Uroczystą mszę świętą w wileńskiej bazylice archikatedralnej św. Stanisława Biskupa i św. Władysława 16 lutego odprawiało trzech kardynałów: Rolandas Makrickas, Audrys Juozas Bačkis oraz Sigitas Tamkevičius.

– Cieszę się, że w tym wyjątkowym dniu, ważnym nie tylko dla Kościoła, lecz także dla całej Litwy, mszę świętą za Litwę i jej mieszkańców odprawia trzech kardynałów – skomentował sytuację metropolita wileński abp Gintaras Grušas, przewodniczący litewskiego episkopatu.

Wybory następcy św. Piotra

Kardynał, a dokładnie kardynał Świętego Kościoła Rzymskiego, to najwyższa po papieżu godność w Kościele katolickim. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa następców św. Piotra wybierało zgromadzenie

wiernych. Sytuacja zmieniła się w IV w., kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową w Cesarstwie Rzymskim. Wówczas biskupa Rzymu zaczęło wybierać prezbiterium, które składało się z 25, a później 28 proboszczów Wiecznego Miasta. W pierwszym tysiącleciu, w zależności od okresu, w wyborze papieża uczestniczyły również osoby świeckie. Od 1059 r. w wyborach uczestniczą tylko kardynałowie.

– Do Kolegium Kardynalskiego papież mianuje biskupów według swego uznania. Troszczy się, aby w każdym momencie było 120 kardynałów, których wiek nie przekracza 80 lat. Dlatego Kolegium Kardynalskie jest nieustannie odnawiane poprzez mianowanie nowych członków – tłumaczy w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Litwy ks. Kęstutis Smilgevičius.

Polska oficjalnie stała się państwem chrześcijańskim w 966 r. za sprawą Mieszka I, który ożenił się z cze- »

ską księżniczką Dobrawą i przyjął chrzest. „Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogłaby go pozyskać dla swojej wiary. Starła się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądz tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym” – czytamy w kronice Thietmara z XI w.

Radziwiłł od kalwina do kardynała

Pierwszym kardynałem narodowości polskiej został w 1449 r. biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, który był też doradcą Władysława Jagiełły oraz jego syna Władysława Warneńczyka.

„Ksiądz Kościoła, kardynał – jako najbliższy współpracownik papieża – ma największy urzędowy wpływ na sprawowanie władzy w Kościele. W okresie Państwa Kościelnego godność ta miała również charakter polityczny i dlatego zainteresowane nią były rody panujące, które ubiegały się o to, aby można było zostać kardynałem, nie będąc kapłanem. W Polsce sejm piotrkowski w 1451 r. zabraniał starania się o tę godność bez zezwolenia króla. Powodem tego było m.in. przekonanie, że nominacje kardynalskie zagrażają równości szlacheckiej. Osłabiało to stosunki ze Stolicą Apostolską oraz utrudniało polskiemu duchownemu udział w najwyższych władzach Kościoła. Im bliżej czasów współczesnych, tym urząd ten bardziej oczyszczał się z tych elementów, nabierając cech religijno-duszpasterskich” – pisał w tygodniku „Niedziela” ks. Wiesław Banaś.

Litwa, chociaż chrzest przyjęła kilka wieków później niż Polska, do swego pierwszego kardynała zyskała już w XVI w. W 1583 r. kardynałem został biskup wileński Jerzy Radziwiłł. Ciekawostką jest, że przyszły kardynał został ochrzczony w obrządku kalwińskim. Na katolicyzm przeszedł w wieku 18 lat. Drugi chrzest przyjął w obecności samego ks. Piotra Skargi.

Pierwszym kardynałem narodowości polskiej został w 1449 r. biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki. Litwa swojego pierwszego kardynała zyskała już w XVI w. W 1583 r. kardynałem został biskup wileński Jerzy Radziwiłł.

Kard. Jerzy Radziwiłł był jednym z liderów polskiej kontrreformacji. Między innymi został potępiony przez króla Stefana Batorego za palenie książek protestanckich w Wilnie. W 1582 r. powołał w Wilnie seminarium duchowe.

Decyzje Jana Pawła II

Na kolejnego kardynała Litwa musiała jednak czekać kilka wieków. W 1988 r. papież Jan Paweł II kreował kardynałem bp. Vincentasa Sladkevičiusa (zmarł w 2000 r. w Kownie). Kolejnym kardynałem z nominacji Jana Pawła II został w 2001 r. Audrys Juozas Bačkis.

Dwóch litewskich kardynałów mianował już papież Franciszek. W 2019 r. został nim abp Sigitas Tamkevičius, emerytowany metropolita Kowna, a w roku ubiegłym abp Rolandas Makrickas, który karierę związał z instytucjami w Rzymie.

– Żadnemu z krajów nie przysługuje określona liczba kardynałów. Nie jest ustanowiona ani minimalna, ani maksymalna liczba kardynałów pochodzących z tego samego kraju. Papież dba, aby kolegia kardynałów jak najlepiej odzwierciedlały powszechność Kościoła i jego działania na wszystkich kontynentach. Kardynałowie są najbliższymi współpracownikami papieża. Wykonują zadania powierzone im przez Ojca Świętego – podkreśla ks. Kęstutis Smilgevičius.

Nominacja abp. Rolandas Makrickasa na kardynała wytworzyła unikalną sytuację. Nigdy wcześniej Kościół litewski nie miał w tym samym czasie takiej liczby kardynałów. – Mamy taką sytuację pierwszy raz, za co jesteśmy wdzięczni Franciszkowi i Janowi Pawłowi II – zaznacza sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Litwy.

Obecnie w Kościele katolickim (stan na 22 lutego 2025 r.) jest 252 kardynałów, najwięcej w historii Kościoła. Do 1975 r., czyli do pontyfikatu Pawła VI, liczba kardynałów oscylowała wokół 70. Jan Paweł II określił liczbę kardynałów elektorów, mogących uczestniczyć w konklawe, na 120. Do tego grona są zaliczani wszyscy kardynałowie, którzy nie ukończyli 80 lat. Po ukończeniu tego wieku duchowny zachowuje tytuł kardynała, ale nie ma prawa dokonywać wyboru nowego papieża. Według stanu na 22 lutego kardynałów elektorów było 138. ■



Kard. Rolandas Makrickas prezentuje watykański dokument o jego nominacji
Fot. Comune di Tolentino, domena publiczna



Wokaliści Retro Boys: Wojciech Daniel, Ksenia Szawszyszwili i Tomasz Raczkiewicz Fot. materiały prasowe

Serce pozostawione w Wilnie. Walentynki w DKP z Wodeckim

Honorata Adamowicz

14 lutego w Domu Kultury Polskiej w Wilnie zabrzmiał wyjątkowy koncert zatytułowany „ZaczynjMY od Bacha”. Publiczność udała się w muzyczną podróż przez największe przeboje Zbigniewa Wodeckiego. Gwiazdą koncertu był uznany śpiewak operowy Tomasz Raczkiewicz.

– Wileńskiej publiczności przedstawiliśmy koncert z piosenkami Zbigniewa Wodeckiego „ZaczynjMY od Bacha” w wykonaniu założonego przeze mnie zespołu Retro Boys – składa się on z sześciu muzyków grających na instrumentach oraz trójki śpiewaków. Koncert to hołd złożony Zbigniewowi Wodeckiemu, jednej z najistotniejszych postaci polskiego życia muzycznego przełomu XX i XXI w. To artysta do dziś dnia najbardziej kochany przez publiczność – mówi „Kurierowi Wileńskiemu” Tomasz Raczkiewicz, śpiewak operowy, wieloletni solista Teatru Wielkiego im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu.

Miłość do muzyki i miłość do Wilna

Członkowie zespołu mieli zaszczyt poznać i występować z tym wielkim artystą i tak jak on... zaczynali od Bacha. Podobnie jak Zbigniew Wodecki zdobyli klasyczne wykształcenie muzyczne, a na estradę przenieśli doświadczenie zdobyte w salach koncertowych i teatrach operowych.

Piosenki Zbigniewa Wodeckiego zabrzmiały w wykonaniu: śpiewaczki operowej i estradowej Kseni Szawszyszwili, Wojciecha Daniela – artysty musicalowego młodego pokolenia, współpracującego z teatrami muzycznymi w Gdyni, Poznaniu i Krakowie, oraz Tomasza Raczkiewicza. Wokalistom towarzyszyli doskonali muzycy estradowi pod kierunkiem Jacka Skowrońskiego – kompozytora i aranżera, przez lata związanego z Hanną Banaszak.

– Myślę, że każdy artysta życzyłby sobie, żeby mieć taką publiczność. Wileńska publiczność jest wspaniała, wrażliwa, fantastyczna, to są uśmiechnięci ludzie, którzy świetnie reagują, przeżywają. To było widać w ich oczach, twarzach, było widoczne ich wzruszenie. Myślę, że ten koncert to był dobry pomysł na wspólne spędzenie waleentynek, ponieważ łączy nas miłość do muzyki, łączy nas miłość do Wilna. Do Wilna, które jest jednym z ważniejszych miast w moim sercu. Ponieważ właśnie w tym pięknym mieście poznali się moi rodzice – cieszy się Tomasz Raczkiewicz. »

Tu poznali się jego rodzice

Litwa jest bliska sercu Tomasza Raczkiewicza, a tę emocję przekazali mu rodzice. Oboje w 1971 r., wtedy jeszcze do Związku Sowieckiego, przyjechali autokarem na wycieczkę – co ciekawe, nie znali się jeszcze wtedy. Jego ojciec był studentem Akademii Medycznej w Lublinie, mama studiowała na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Do Wilna przywiozła to, co było wówczas tutaj zabronione, czyli Pismo Święte, różańce i inne dewocjonalia.

Oboje w niedzielę wybrali się do Ostrej Bramy, do Matki Boskiej, i modlili się przed świętym obrazem. Mama prosiła o dobrego męża, a tato – o dobrą żonę. – Chwalić Boga, są już ze sobą 53 lata razem. Gdy modlili się przed obrazem, jeszcze się nie znali. Macie tutaj cudowną protektorkę – opowiada Tomasz Raczkiewicz.

Dla niego samo Wilno jest piękne, ale jeszcze piękniejsze jest to, co gdzieś podskórnie w tym mieście bije – ta polskość, która jak bijące serca na każdym kroku o sobie przypomina.

Siłacz na scenie

Tomasz Raczkiewicz chętnie opowiada o swojej karierze artystycznej. – Wszystko zaczęło się od tego, że skończyłem Akademię Muzyczną w Poznaniu i we Wrocławiu. Z wykształcenia i z zawodu jestem śpiewakiem operowym, który od 28 lat jest solistą Teatru Wielkiego imienia Stanisława Moniuszki w Poznaniu. Przez wiele lat śpiewałem kontratenorem, teraz również śpiewam tenorem, chętnie pracuję na estradzie, dlatego tworzę właśnie takie projekty jak ten. Reżyseruję, piszę teksty, napisałem książkę o śpiewających kastratach, grywam także w serialach. Czasu mi wystarcza na wszystko, to jest kwestia zorganizowania. W moim zawodzie najważniejsze jest dużo spać i dobrze odpoczywać – nie kryje.

Jak mówi, ten zawód wymaga sprawności fizycznej. A kiedy zaczyna się okres produkcji, w czasie spektakli to

Ten koncert to był dobry pomysł na wspólne spędzenie walentynek, ponieważ łączy nas miłość do muzyki, łączy nas miłość do Wilna. Właśnie w tym pięknym mieście poznali się moi rodzice... – mówi Tomasz Raczkiewicz

potrzebny staje się niemal klasztorny rygor. Śpiewanie to jest ciężka fizyczna praca. Trzeba uczyć się tekstów najczęściej w obcych językach.

– Mogę powiedzieć uczciwie. Pracuję jako artysta estradowy, jako

piosenkarz, jako aktor, ale żadna z tych profesji nie jest nawet w połowie tak wymagająca i tak wyczerpująca jak śpiew w operze. W tym zawodzie jest wiele rozczarowań, ciężkiej harówki i dużo determinacji, ale mimo wszystko to jest piękny zawód. Najpiękniejsze w nim jest to magiczne poczucie, że przez kilka godzin jesteśmy tym, kim nigdy w rzeczywistości byśmy nie byli. Na scenie jestem królem, jestem carem, jestem egipskim faraonem... – wymienia Raczkiewicz.

– Bardzo ważne w tym zawodzie jest to, żeby umieć podnieść się po porażkach i trudnych momentach, ale nade wszystko nie dać się unieść takiemu poczuciu, że jesteśmy kimś lepszym, że jesteśmy lepszymi od innych. Każdy z nas jest ważny na tym świecie, każdy robi coś istotnego i bez nas ten świat byłby inny i pewnie nie tak dobry – zapewnia.

Raczkiewicz śpiewakiem operowym został przez przypadek. Od dzieciństwa marzył, by zostać... księdzem. Pewnego razu, jak śpiewał w scholi w kościele, usłyszała go pani profesor. I tak spod ołtarza na scenę...

– Zadebiutowałem partią Fiodora w „Borysie Godunowie”. Przez przypadek moja śp. przyjaciółka, śpiewaczka operowa Agnieszka Mikołajczyk – pod pseudonimem Aga Mikołaj śpiewała w całej Europie, była ostatnią uczennicą legendarnej Elisabeth Schwarzkopf – podsunęła realizatorom, że jest ktoś taki jak ja, co może zaśpiewać partię chłopca w tej operze. I zadzwoniono do mnie w sobotę, czy mogę już we wtorek wystąpić w danej partii. Nauczyłem się tekstu, przyjechałem i tak się zaczęło. Później były kolejne role, dostałem etat, potem zaczęła się współpraca z innymi teatrami. No i tak sobie jestem na tej scenie do dziś – opowiada Tomasz Raczkiewicz.

„Lubię wracać tam, gdzie byłem już...”

Podczas wileńskiego koncertu zabrzmiały znane i uwielbiane piosenki z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego: „Zacznij od Bacha”, „Chałupy”, „Pszczółka Maja”, „Lubię wracać”, „My Way”. Nie zabrakło także znanych duetów śpiewanych przez Mistrza z takimi gwiazdami, jak Irena Santor czy Zdzisława Sośnicka. Ponadto wykonano skomponowaną przez Jacka Skowrońskiego do słów Tomasz Raczkiewicza piosenkę „Bez Ciebie”, będącą wspomnieniem Zbigniewa Wodeckiego.

„ZacznijMY od Bacha” to nie tylko sentymentalna podróż wypełniona przebojami najwyższej próby. To także opowieść o wybitnym człowieku i śladzie, jaki odcisnął w sercach i umysłach kilku pokoleń Polaków. Razem z wileńską publicznością artyści wrócili wspomnieniami do czasów, gdy Zbigniew Wodecki zachwycał swoim magicznym głosem, bawił narracją utkaną z najprzedniejszych dowcipów i wzruszał do łez swoim podejściem do sztuki i do ludzi. ■



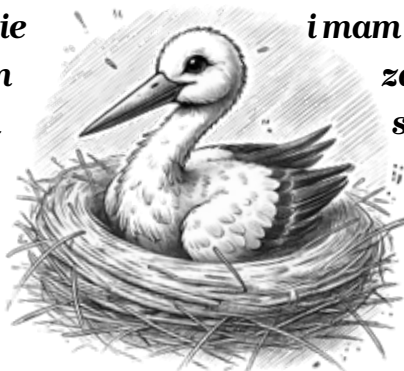
Tomasz Raczkiewicz w entourage'u Zbigniewa Wodeckiego (zdjęcie z 2022 r.) Fot. Facebook



Nie wiem, czy wiecie, a jeżeli nie wiecie, to właśnie śpieszę wam powiedzieć, iż WIOSNA zbliża się do nas wielkimi krokami!

Tak, tak, przedwczoraj słyszałam żurawie. Już przyleciały, powróciły do swoich rodzinnych stron.

Bardzo się o nie martwię, bo jednak jeszcze i śnieg i mróz w nocy, pożywienia mało, nawet bardzo mało, ale to silne ptaki



i mam nadzieję, że sobie poradzą i nie zachorują. Tak czy inaczej – witamy serdecznie wszystkie ptaki:

- które już powróciły,
- które właśnie są w drodze,
- i które dopiero przymierzają się do powrotu!

Jesteście najweselszymi zwiastunami wiosny, za co wam pięknie dziękujemy!

Przebiśniegi

To rośliny, które po długich, zimowych miesiącach pierwsze zakwitają i wzbudzają w nas szczególne emocje. Mimo panującego za oknem mrozu dzielnie przebijają się przez zalegające płaty śniegu. Jest to śnieżyczka przebiśnieg *Galanthus nivalis*. Swoją nazwę zawdzięcza mlecznobiałym kwiatom. Nazwa łacińska pochodzi od słów *gala* – mleko i *anthos* – kwiat. Roślina ta pochodzi z Europy Środkowej. Bardzo czę-



sto możemy zauważyć je na skraju lasu. Śnieżyczki bardzo

szybko się rozrastają, rozsiewając nasiona i wykształcając cebulki. Kwiaty przebiśniegów potrafią zamykać się i otwierać w zależności od temperatury powietrza.

Przebiśniegi zostały objęte ścisłą ochroną. Jednak ta ochrona dotyczy roślin dziko występujących i jeśli ktoś chciałby mieć bukiet przebiśniegów, to może je zerwać ze swojego ogródka.

Warto także wiedzieć, że przebiśniegi są trujące, ponieważ zawierają dużą ilość alkaloidów. Spożycie kwiatka grozi niestrawnością, a kontakt z cebulkami może podrażnić skórę.

Marzec

To trzeci miesiąc nowego roku i tak naprawdę każdego innego roku – czy przyszłego, czy przeszłego. Jego imię wywodzi się z języka łacińskiego. W starożytnym Rzymie był to miesiąc poświęcony bogu wojny – Marsovi. Mars minę miał marsową, czyli bardzo groźną. *Martius* w łacinie oznacza „miesiąc Marsa”, czyli ten, w którym ta planeta świeci najjaśniej. U nas jest zapowiedzią wiosny, dni długich i wesołych – budzenia się przyrody do życia.

Jak to dawniej bywało... Bachuski i pan „Zapust”

Starym polskim zwyczajem zapustnym były **bachuski** – ta nazwa pochodzi od imienia starożytnego greckiego i rzymskiego boga **Bachusa**, zwanego także **Dionizosem**, patrona wina, wiosny, słońca, odradzającej się przyrody i miłości. Bachusem nazywano chłopca ubranego w słomiane powrozy albo słomianą lalkę, którą na sankach lub wózku (w zależności od pogody) obwoziła świta złożona z przebierańców, zbierających datki dla „**Bachuska**”, a przy okazji i dla siebie.

Bachusami nazywano grupę złożoną z Księcia Zapusta (główniej postaci), ubranego w długą sukmanę i wysoką papierową czapkę, przybraną dzwoneczkami i kolorowymi wstążkami. Towarzyszyli mu: profesor z osłą głową, dziad i inni przebierańcy. Wchodząc do domu, Zapust wygłaszał orację:

„Ja jestem Zapust, mantuański książę.

Przychodzę z dalekiego kraju,

gdzie psy ogonami szczekają,

ludzie gadają łokciami,

a jedzą uszami.

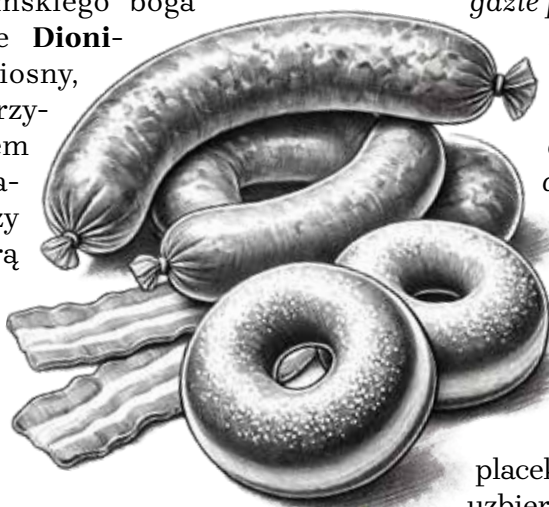
Słońce o zachodzie wschodzi,

a o wschodzie zachodzi,

a kurczę kokoszę rodzi.

Każdy na opak gada,

A deszcz z ziemi do nieba pada”.



Następnie przedstawiał swój orszak, zaczynając od profesora, i przymawiał o datki: o kielbasę, o kawałek boczku, o kołacz i słodki placek, a towarzyszący mu dziad składał

uzbierane dobra do swego wielkiego kosza.

Wszystkich przebierańców zapustnych chętnie przyjmowano w domach i ugaszczano, i to nie tylko dlatego, że ich występy były zabawne; wiercono również w tajemnicze związki zachodzące pomiędzy ich przybyciem oraz obecnością w domu i obejściu, z ich zabawami i harcami, a rychłym już nadejściem wiosny i budzeniem się życia w przyrodzie.

Psychozabawa. U cioci

Ciocia zaprosiła was na rodzinny obiad. Właśnie wszyscy usiedliście do stołu...

Jakościocia długonie podaje zupy –

a) wołacie: „Ciociu, kiszki nam z głodu marsza grają!”;

b) dzwonicie łyżkami o talerze;

c) siedzicie cicho, trudno, jak trzeba zaczekać, to trzeba.

Wreszcie zupa wjeżdża na stół.

Niestety, jest to pomidorkowa z kluskami, której wprost nie znosicie –

a) krzywicie się;

b) zakrywacie talerz obiema rękami;

c) prosicie szeptem mamę, aby nałapała wam bardzo mało.

Drugie danie było wyśmienite! Macie chęć na dokładkę, ale na półmisku pusto –

a) wołacie: „Ciociu, daj jeszcze kawałek mięska!”;

b) prosicie mamę, aby nałożyła wam ze swego talerza;

c) obchodzicie się bez dokładki, ale bardzo chwalicie to danie.

Po mięsie, kaszy i buraczkach macie brudne ręce –

a) wycieracie je w obrus;

b) wcale ich nie wycieracie;

c) wycieracie je serwetką lub myjecie w łazience.

Obiad był pyszny (oprócz tej zupy). Ciocia sprząta ze stołu –

a) łapiecie swój talerz i wylizujecie;

b) siedzicie i spokojnie czekacie na ciasto;

c) pomagacie cioci.

Rozwiązanie: Jeżeli najwięcej zaznaczyliście odpowiedzi „C” – to bardzo dobrze, świadczy to o waszym dobrym i kulturalnym zachowaniu. Jeśli najwięcej zakreślonych było punktów „B” – niedobrze! Wasze zachowanie jest dziecinne, musicie zwracać uwagę na to, co

robicie. Jeżeli choć raz i więcej przyszło wam zakreślić punkt „A” – ratunku!!! Gdyby to nie była ciocia, to pewnie nigdy więcej by was nie poproszono. Ciocia was kocha i tak pewnie powie, że jesteście słodkim i kochanym jej maleństwem. Niestety, nie zwalnia to od porządnego zachowania, tylko zobowiązuje, a więc stanowczo zalecamy poprawę.





Współpraca między rodzicami a nauczycielem opiera się na zaufaniu Fot. Adobe Stock

Czy rodzice powinni się wtrącać w proces nauczania?

Anna Pawłowicz-Janczys

Wielu rodziców, troszcząc się o edukację swojego dziecka, pragnie mieć wgląd w to, co dzieje się w szkole i w jaki sposób prowadzone są lekcje. Zdarza się jednak, że zaangażowanie rodzica staje się nadmierne, a rodzic sam zaczyna wyręczać nauczyciela w jego pracy bądź sugerować, jak lekcje powinny wyglądać.

Z drugiej strony mamy perspektywę nauczyciela, który – choć z założenia jest profesjonalistą – bywa nieufnie traktowany przez rodziców kwestionujących jego kompetencje. Gdzie zatem leży granica między troskliwym zaangażowaniem a natarczym ingerowaniem? Jak zachować równowagę, szanując

jednocześnie rolę rodzica i autorytet nauczyciela?

Rola rodziców w edukacji dziecka

Rodzice są pierwszymi i najważniejszymi wychowawcami. Znają najlepiej swoje dziecko i w natural-

ny sposób chcą mieć wpływ na to, w jakich warunkach i w jaki sposób się ono uczy. Z perspektywy nauczyciela i dziecka ważne jest jednak, by rodzice pełnili głównie rolę wspierającą, a nie kontrolującą. Pomoc w odrabianiu prac domowych, rozmowa o szkolnych doświadczeniach czy dbanie »

o dobre warunki do nauki w domu – to przykładowe działania, które budują most porozumienia między szkołą a rodziną.

Współpraca między rodzicami a nauczycielem opiera się na zaufaniu. Jeżeli rodzic zaczyna traktować nauczyciela jak osobę niekompetentną lub nierzetelną, dziecko odbiera tę postawę jako przyzwolenie na kwestionowanie poleceń i zasad panujących w klasie. Tymczasem profesjonalny nauczyciel jest przygotowany do prowadzenia lekcji w określony sposób, dostosowując metody pracy do umiejętności i potrzeb uczniów. Wystarczająca doraźna zaufania do kompetencji i autorytetu pedagoga wspiera proces wychowawczo-dydaktyczny.

Nieraz źródłem nieporozumień bywa brak jasnej i otwartej komunikacji. Rodzic może czuć się niesłyszany, obawia się, że jego uwagi nie są brane pod uwagę lub że nie otrzymuje wystarczających informacji o postępach dziecka. Z drugiej strony nauczyciel może mieć trudności w przekazywaniu szczerych uwag, szczególnie tych dotyczących niepokojących zachowań ucznia, jeśli spotyka się z nadmierną krytyką czy brakiem współpracy ze strony rodziców. Dlatego regularne konsultacje i rozmowy (z poszanowaniem granic i kompetencji) są kluczem do porozumienia i zrozumienia wzajemnych oczekiwań.

Granice między zaufaniem a ingerencją

W niektórych szkołach zdarza się praktykowanie tzw. dni otwartych, podczas których rodzice mają okazję zobaczyć, w jaki sposób nauczyciel pracuje z uczniami. Bywa to ciekawy punkt wyjścia do późniejszej rozmowy i lepszego zrozumienia szkolnych realiów.

Jednak permanentne obserwowanie lekcji czy częste sugestie na temat stylu prowadzenia zajęć mogą negatywnie wpływać na autorytet pedagoga. Tak samo jak nauczyciel nie wchodzi do miejsca pracy rodzica i nie przygląda się,

W niektórych szkołach zdarza się praktykowanie tzw. dni otwartych, podczas których rodzice mają okazję zobaczyć, w jaki sposób nauczyciel pracuje z uczniami. Bywa to ciekawy punkt wyjścia do późniejszej rozmowy i lepszego zrozumienia szkolnych realiów.

jak wypełnia on swoje obowiązki, tak i rodzic powinien mieć do nauczyciela zaufanie, że wie, jak realizować program nauczania.

Podobnie jak w każdej innej profesji, nauczyciel to specjalista, który ukończył odpowiednie studia, przygotowanie pedagogiczne i praktyki zawodowe. Ma też własne doświadczenia, sukcesy, a niekiedy i porażki, z których wyciąga wnioski. Kwestionowanie jego metod „z marszu” nie tylko może zaburzać proces nauczania, lecz także obniżać w oczach uczniów autorytet nauczyciela. Zadawanie pytań, proszenie o wyjaśnienia czy dzielenie się perspektywą rodzica jest wskazane – ważne, by odbywało się to w atmosferze wzajemnego szacunku.

Jak radzić sobie w trudnych sytuacjach?

Jeśli rodzic nie ufa nauczycielowi, warto, by pedagog przedstawił dowody swoich spostrzeżeń: odnotowane sytuacje niewłaściwego zachowania ucznia, przykłady prac pisemnych z oceną, informacje z dziennika elektronicznego. Konkretnie fakty i merytoryczna rozmowa często pomagają rozwiązać nieporozumienia i niedopowiedzenia.

Zamiast skupiać się na tym, „kto ma rację”, warto wspólnie zastanowić się, co zrobić, aby dziecko zaczęło lepiej się zachowywać czy osiągać lepsze wyniki w nauce. Czy potrzebne jest dodatkowe wsparcie pedagoga socjalnego czy specjalnego, psychologa, zajęcia wyrównawcze, czy może zmiana sposobu motywowania w domu? Otwartość na perspektywę rodzica i wskazanie mu praktycznych możliwości współpracy (np. system punktów/nagród za dobre za-

chowanie) może ocieplić relację i zbudować większe zaufanie.

Gdy rodzic zaczyna oskarżać nauczyciela o brak kompetencji lub nieuzasadnione czepianie się ucznia, najlepszą obroną jest rzeczowe wyjaśnienie i stanowcze trzymanie się faktów. Warto zachować spokój

i unikać emocjonalnej odpowiedzi na atak czy krytykę. Jeżeli rozmowa staje się nieprzyjemna, nauczyciel może poprosić o spotkanie z udziałem świadka (np. innego nauczyciela, pedagoga, dyrektora), by zadbać o profesjonalny przebieg dalszej rozmowy.

Współpraca oparta na szacunku

Właściwe wyważenie ról i kompetencji rodzica i nauczyciela przynosi obustronne korzyści – a przede wszystkim służy dobru dziecka. Odpowiedzialny rodzic, zamiast narzucać wizję prowadzenia lekcji, będzie wymieniał się uwagami z pedagogiem i ewentualnie zasugeruje, co mogłoby pomóc dziecku w nauce. Mądry i świadomy nauczyciel, zamiast traktować rodzica jak wroga, dostrzeże w nim ważnego sojusznika w pracy nad rozwojem ucznia.

Wzajemny szacunek i empatia pozwalają stworzyć środowisko, w którym uczeń czuje się bezpieczny, a jednocześnie wie, że zarówno w domu, jak i w szkole obowiązują pewne zasady i oczekiwania. Dzięki temu powstaje spójny front wychowawczy wspierający harmonijne wzrastanie dziecka.

Pamiętajmy, że nadmierna kontrola ze strony rodzica rodzi niepotrzebne napięcia, podobnie jak krytyka i brak zrozumienia dla opinii i kompetencji pedagoga. Z kolei mądre wsparcie i współpraca budują zaufanie, które jest fundamentem pozytywnego klimatu wokół nauki i wychowania. To właśnie w takim klimacie dziecko będzie najlepiej się rozwijało i nabywało nie tylko wiedzę, lecz także postawy oparte na wzajemnym szacunku i odpowiedzialności. ■

Coś pysznego na zapusty

Elżbieta Monkiewicz (@elzbieta.mon na Instagramie)

Mimo że tegoroczne ostatki są późne, to nadeszły bardzo szybko. W tłusty czwartek zjadaliśmy pączki – bo jak tu pączka nie zjeść i według wróżby dobrego roku nie mieć? A ostatni dzień karnawału, wtorek ostatkowy, czyli jak na Wileńszczyźnie częściej mówią – zapustowy, naznaczony jest nadzwyczaj obfitym i tłustym jedzeniem.



Przypuszcza się, że słowo „naleśnik” pochodzi od starosłowiańskiego „na lěšě”, czyli „na kracie” – był to rodzaj rusztu do suszenia owoców **Fot. Adobe Stock**

Dawnym słowiańskim obyczajem szykujemy olbrzymie ilości blinów, razem witając słońce – bo to właśnie je symbolizuje okrągły blin czy naleśnik. Choć tu trzeba zaznaczyć, że w tym wypadku bliny na zapusty są raczej wydarzeniem terytorialnym, a nie tylko narodowościowym. Mało tego, jeśli chodzi o terytoria, to Wileńszczyzna i tutaj

ma oryginalne pomysły, bo w jednej części Wilna i okolic zapusty obchodzi się jedzeniem blinów, a w innej – pilnym lepieniem i jedzeniem z dużym smakiem kołdunów. Przy czym obydwie te partie są zjednoczeni jednym mottem: „Im więcej i tłustiej zjesz, tym lepiej!”. A w spełnieniu tego zalecenia pomogą poniższe przepisy. »

Popularne ciasto na kołduny lub pierogi

Składniki: 600 g mąki • 2 duże jajka • 100 g gęstej kwaśnej śmietany • 30 ml oleju • szczypta soli
• ok. 180 ml letniej wody

Mąkę przesiej do dużej miski lub na stolnicę, zrób dołek w środku, wbij jajka. Dodaj śmietanę, olej i sól. Zamieszaj ciasto, stopniowo dodając wodę, wyrabiaj miękkie i elastyczne ciasto. Uformuj kulę, przykryj ją odwróconą do góry dnem miską i pozostaw na co najmniej pół godziny, by ciasto się rozluźniło. Podziel ciasto na 2–3 części, jedną wałkuj dość cienko i rób kołduny, pozostałe trzymaj przykryte, by nie obeschły. Kołduny i pierogi nadziewaj dowolnym nadzieniem.

Kołoduny Tyszkiewiczów

Składniki na ciasto: 2 szklanki mąki • 2 średnie jajka • szczypta soli

Nadzienie: 140 g suszonych borowików • 2 cebule • 2–3 łyżki masła • 200 g tłustej wędzonej szynki (jeśli jest chuda, dodać skwarki) • 2 jajka • sól, pieprz

Receptura pochodzi z książki „Kucharka litewska” Wincentyny Zawadzkiej. Z mąki, jajek i szczypty soli zagnieć sztywne ciasto, gdyby było zbyt elastyczne, dodaj trochę mąki, dobrze wyrób. Uformuj kulę i owiń folią spożywczą. Zostaw w lodówce co najmniej na godzinę. Ciasto przed lodówką powinno być zwarte, ponieważ podczas leżakowania gluten się rozluźni i ciasto stanie się bardziej elastyczne. Suszone grzyby opłucz, ugotuj do miękkości i drobno posiekaj. Cebulę drobno posiekaj, sparz wrzątkiem, odcisnij i zeszklij na dużej łyżce masła, wymieszaj z borowikami, dwoma jajkami, szczyptą soli i pieprzu. Szynkę wędzoną pokrój nożem na gładką masę, wymieszaj z farшем grzybowym.

Rozwałkuj ciasto na cienko, ułóż w równych odstępach rząd kulek nadzienia, razem odstępując i od brzegu na odległość kołoduna. Potem przykryj nadzienie wolną od niego połową ciasta i wykrawaj szklanką lub foremką półkrażki, dociskaj palcami mocno brzegi każdego półkrażka (ciasto możesz też rozwałkować i szklanką wycinać z niego kółka, napęlić je nadzieniem i skleić lub owinąć brzegi). Umocnij zlepiony brzeg zwijaniem ciasta sznureczkiem lub docisnij widelcem. Powtarzaj, aż wykorzystasz całe nadzienie. Wrzucaj kołoduny do wrzącej wody i gdy wypłyną na powierzchnię, odcedź je. Podawaj z cebulą podsmażoną na maśle.

Bliny gryczane na drożdżach

Składniki: 150 g mąki pszennej • 100 g mąki gryczanej palonej • 2/3 łyżeczki soli • 1 łyżeczka suchych drożdży • 350 ml ciepłego mleka • 50 g stopionego masła • 2 jajka, oddzielone • szczypta cukru • olej do smażenia

Do dużej miski przesiej obie mąki i sól, dodaj drożdże. Mieszając, wlej do miski z mąką ciepłe mleko razem z żółtkami, wyrabiaj łyżką rzadkie ciasto. Zakryj miskę folią spożywczą lub zmoczonym i dobrze odcisniętym ręcznikiem i zostaw w ciepłym miejscu na godzinę (po tym czasie ciasto zdecydowanie przyrasta, więc miska musi być duża).

Stopione masło dodaj do ciasta. Ubij białka na sztywną pianę i delikatnie połącz z ciastem. Przykryj i zostaw na 20 minut.

Rozgrzej patelnię z odrobiną oleju na dnie. Wlej ciasto i smaż na średnim ogniu przez 1–2 minuty, gdy na wierzchu widoczne będą małe dziureczki, przewróć blin i smaż jeszcze minutę lub półtora. Usmażone bliny układaj na talerzu, suto smarując każdy blin masłem.

Naleśniki na wrzątku

Składniki: 500 ml kefiru • 2 jajka • 300–320 g mąki • szczypta soli • 1 łyżka cukru • 1 łyżeczka sody • 30 ml oleju • 150 ml wrzątku

W dużej misce wymieszaj kefir, jajka, sól i cukier. Mąkę przesiej i wsyp do części płynnej, wymieszaj trzepaczką tak, aby nie było grudek, jakby zostały – to precedź ciasto przez sito. Do wrzątku dodaj sodę, szybko wymieszaj i połącz z ciastem. Na końcu dodaj olej i też wymieszaj.

Patelnię do naleśników nagrzej, pierwszy raz posmaruj tłuszczem i smaż naleśniki z obu stron. Przy dobrej patelni więcej smażyć z tłuszczem nie będzie potrzeby, a która patelnia jest dobra – wróć do poprzedniego numeru magazynu.

Tradycyjne ciasto na kołoduny lub pierogi

Składniki: 500 g maki pszennej • 230 ml wody • sól

Przesiej mąkę do miski, zrób dołek w mące, wlej wodę i dodaj sól. Woda do przygotowania ciasta na pierogi powinna być lodowata.

Zagnieć ciasto i wyrabiaj go, aż będzie gładkie, ok. 10 minut. Przykryj wilgotnym ręcznikiem lub zawij w folię spożywczą i odstaw co najmniej na 30 minut do lodówki, a można ciasto zrobić dzień przed. Po lodówce ciasto będzie elastyczne i podatne formowaniu.

Dla zwolenników ułatwienia sobie pracy: pomocne będą mikser stacjonarny z końcówką hak i maszynka do robienia makaronu – bardzo dobrze wałkuje ciasto.

Sos twarogowy dawniejszy

Składniki: 200 g twarogu tłustego • 400 g tłustej śmietany • szczypta soli

Twaróg powinien być suchy, odcisnięty. Przetrzyj go przez sito i wymieszaj ze śmietaną, dopraw solą. Także można dodać cukru i sos będzie słodki.

Propozycje dodatków do blinów:

- rozgniecione awokado z twarogiem, doprawione cytryną, solą i pieprzem;
- sos żmudzi kastyns zmieszany z posiekaną świeżą zielenią;
- drobno posiekane świeże pomidory z cebulą, koperkiem i śledziem, doprawione kwaśną śmietaną;
- ziarnisty twaróg z posiekanymi ogórkami i koperkiem;
- twaróg, pieczony bakłażan i pestki granatu;
- śmietana wymieszana z odrobiną chrzanu, posiekane ugotowany ozór i korniszony.

Niemieckie wybory. Wyrok odroczony

Antoni Rybczyński

To było referendum: za czy przeciwko AfD. Doprowadził do tego świadomie lider niemieckiej chadecji Friedrich Merz, ale też – zapewne nieświadomie – J.D. Vance i Elon Musk. Jako że Niemcy są zasadniczo antyamerykańscy, to zagłosowali przeciwko popieranej przez nowy rząd USA partii. Wraca więc wielka koalicja CDU/CSU-SPD. To oznacza, że AfD nadal będzie punktować. Za cztery lata „zapora ogniowa” może runąć.



Wieczór wyborczy w siedzibie partii CDU, świętuje m.in. Friedrich Merz, przyszły kanclerz RFN Fot. Sandro Halank, Wikimedia Commons, domena publiczna

W wyborach do Bundestagu 23 lutego wzięła tym razem udział rekordowa liczba 59,2 mln wyborców, czyli 83,5 proc. Taką aktywność odnotowano po raz pierwszy od zjednoczenia Niemiec w 1990 r. Skąd taka wysoka frekwencja?

To było tak naprawdę referendum w sprawie Alternatywy dla Niemiec (AfD). Do czego przysłużyli się zresztą administracja Dolalda Trumpa i Elon Musk. Zmobilizowały się masy młodszych wyborców, z natury antyamerykańskich i lewicowych. Stąd zresztą zaskakująco dobry wynik Die Linke.

Trudna misja Merza

Zgodnie z oczekiwaniami centroprawicowy blok CDU/CSU wziął 28,52 proc. głosów, populistyczna pra-

wicowa Alternatywa dla Niemiec 20,8 proc., Partia Socjaldemokratyczna – 16,41 proc. głosów, Zieloni – 11,61 proc., Lewica – 8,77 proc. Jak to się przekłada na podział miejsc w 630-osobowym Bundestagu? 208 dla CDU/CSU, 152 – AfD, 120 – SPD, 85 – Zielonych, 64 – Die Linke. Ponadto jeden mandat przypada SSV, partii duńskiej mniejszości ze Szlezewiku, która nie podlega pięcioprocentowemu progowi wyborczemu.

Głosowanie w Bundestagu nad wyborem nowego kanclerza odbędzie się dopiero po utworzeniu koalicji rządzącej. Lider zwycięskiej chadecji Friedrich Merz przyznał, że nie będzie to łatwe. Wynik wyborów sprawia, że utworzenie rządu jest „być może nawet trudniejsze, niż się spodziewaliśmy”. »

Chadekom do większości brakuje aż 108 mandatów, będą więc musieli utworzyć koalicję. Nie będzie to druga siła Bundestagu, AfD. Merz odmówił współpracy z nią, mówiąc, że jego blok nie będzie „szukał wolności i pokoju na kolanach Putina”. Ponadto w Niemczech obowiązuje w politycznym światku tzw. zaporą ogniową – zasada, która wyklucza współpracę z AfD.

– Wasza partia nie rozwiązuje problemów, ona żyje z problemów. Nie chcecie ich rozwiązywać, wykorzystujecie je do osiągnięcia sukcesu – grzmiał Mertz pod adresem AfD.

– Będziecie musieli prędzej czy później zrozumieć, że bez AfD nie możecie przewodzić Niemcom. To nasza partia otrzymała mandat obywateli. Kiedy następna koalicja rozpadnie się z powodu ciągłych kłótni, będziecie zmuszeni negocjować z nami i uznać wybór ludu – odparła Alice Weidel, liderka Alternatywy dla Niemiec.

Mimo zajęcia drugiego miejsca w wyborach, podwojenia wyniku z 2021 r. i stania się absolutnym liderem w krajach byłej NRD Alternatywa dla Niemiec będzie zmuszona do zajęcia miejsc opozycyjnych w Bundestagu. Weidel ma jednak całkowitą rację w jednej kwestii. Niegdyś główne niemieckie siły polityczne – chrześcijańscy demokraci i socjaldemokraci – straciły dawne zaufanie wyborców.

AFD nie tylko zdominowała byłą NRD, lecz także zaczyna rosnąć w siłę w zachodnich Niemczech – a to warunek konieczny, by kiedyś móc rządzić. Blok CDU/CSU zajął pierwsze miejsce w wyborach, ale niewiele poprawił swój nieudany wynik z 2021 r. (24,2 proc. głosów), nie przekraczając nawet granicy 30 proc.

O spadku popularności bloku CDU/CSU świadczy jeszcze jedno: ponad 2 mln nowych wyborców oddało głos na AfD, a milion mniej na blok chadecki. Próby pozyskania wyborców skrajnej prawicy poprzez „zapóżylenie” od AfD jej haseł wyborczych tylko wzmocniły pozycję Alternatywy dla Niemiec.

Lewica nadal z wpływem

Alternatywa dla Niemiec odnotowała również napływ tradycyjnych wyborców SPD. Przeszli do niej

przedstawiciele klasy robotniczej. Socjaldemokratyczna Partia Niemiec musiała zadowolić się trzecim miejscem, wykazując najgorszy wynik w wyborach od czasu utworzenia Republiki Federalnej Niemiec w 1949 r. Powodem była polityka „koalicji świateł drogowych” pod przywództwem Olafa Scholza, który był krytykowany za niezdolność do kompromisu.

Jednak Friedrich Merz wie, że jedynym sposobem na utworzenie stabilnego rządu pozostaje koalicja z SPD. Może dołączyć Zieloni. Oni też zostali ukarani za udział w rządzie Scholza. Zajęli czwarte miejsce, ale to wynik o 3 pkt proc. gorszy niż poprzednio. Wyraźnie zdenerwowany tym faktem Robert Habeck, minister gospodarki i wicekanclerz poprzedniej koalicji, który od początku wyborów aktywnie głosił swoją gotowość do objęcia stanowiska nowego kanclerza Niemiec, ogłosił, że nie będzie ubiegał się o przywództwo w partii.

Jeszcze gorzej wypadł trzeci koalicjant. Za porażkę Wolnych Demokratów (FDP) obserwatorzy jednoznacznie obwiniają ich lidera Christiana Lindera. Utalentowany polityk, który wprowadził partię do Bundestagu w ostatnich wyborach, był przyczyną jej porażki w obecnych. Uzyskując 4,33 proc. głosów, FDP pogorszyła swój wynik o 7 pkt proc. Lindner rezygnuje z członkostwa w partii i odchodzi z polityki.

Niespodzianką był wynik Lewicy (Die Linke), która zdobyła 8,77 proc. głosów. To prawie 4 pkt proc. więcej niż w poprzednich wyborach. W Berlinie Lewica niespodziewanie zajęła pierwsze miejsce z 19,9 proc. głosów. Ten spadkobierca wschodnioniemieckich komunistów zyskał dzięki protestom przeciwko Alternatywie dla Niemiec.

Szefowa partii Heidi Reichinnek odegrała w tym ważną rolę. Jej dwa płomienne przemówienia w Bundestagu przeciwko AfD, w których wezwała wszystkie siły demokratyczne do zorganizowanej odpowiedzi na „neofaszystów”, stały się hitem w mediach społecznościowych. To dzięki obecności Reichinnek na platformach takich jak Tik-Tok Lewica była w stanie przyciągnąć młodych wyborców.

Ale zarazem pogrzebała w ten sposób prorosyjski lewicowy Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW), które-

Mimo zajęcia drugiego miejsca w wyborach, podwojenia wyniku z 2021 r. i stania się absolutnym liderem w krajach byłej NRD Alternatywa dla Niemiec będzie zmuszona do zajęcia miejsc opozycyjnych w Bundestagu. Choć CDU/CSU i SPD straciły dawne zaufanie wyborców, to utworzą rząd.

mu zabrakło ok. 10 tys. głosów do przekroczenia progu wyborczego. Taka słodka zemsta. Wszak BSW to renegaci z Die Linke.

Trudna nowa koalicja

Friedrich Merz, spodziewany nowy kanclerz RFN, powiedział, że postara się utworzyć rząd przed Wielkanocą, która w tym roku przypada 20 kwietnia. Lider CDU podkreślił znaczenie szybkiego utworzenia rządu, aby Niemcy były w stanie negocjować na arenie międzynarodowej.

Merz podkreśla, że niepokojące sygnały z USA, wskazujące na rozpad dawnych więzi transatlantyckich, nie pozostawiły Niemcom innego wyboru, jak tylko wzmocnić swoje zdolności obronne wraz z resztą Europy.

W kwestiach polityki zagranicznej SPD i CDU/CSU na pewno nie będą się spierać. Jednak duży potencjał konfliktu może się otworzyć w dziedzinie polityki gospodarczej i społecznej. Współistnienie dwóch sił politycznych w wielkiej koalicji nie będzie bezproblemowe.

SPD i CDU/CSU już trzykrotnie powiedziały sobie „tak” w tym stuleciu, a ich sojusz zawsze okazywał się silny. Tym razem będzie miał jednak do czynienia z opozycją silną jak nigdy. AfD plus Die Linke mają łącznie tyle mandatów, by np. blokować sporo ważnych decyzji, np. dotyczących zwiększenia zadłużenia państwa, aby pozyskać środki na inwestycje w obronność i infrastrukturę. ■



Romuald Jałbrzykowski, w latach 1926–1955 (od 1945 r. poza Litwą) arcybiskup metropolita wileński Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, oprac. A.K.

Abp Romuald Jałbrzykowski to postać wyjątkowo barwna i trudna do jednoznacznego ocenienia. Pikanterii dodaje fakt, że jego stryj, ks. Antoni Jałbrzykowski, schował w podziemiach katedry przed Niemcami i Rosjanami relikwiarze. Z kolei kustosz katedry w diecezji Jałbrzykowskiego, ks. Franciszek Wołodźko, ukrył insygnia, które na początku 2025 r. (kiedy ogłoszono znalezisko) wywołały międzynarodową sensację. Sam bp Romuald Jałbrzykowski przez Litwinów jest wspomniany... różnie. To by było najdelikatniejsze określenie. Choć jego życiorys zasługuje na film.

Skąd Jałbrzykowski mógł znać litewski?

W 1906 r., czyli jeszcze przed niepodległością Polski czy Litwy – gdy był profesorem na Sejneńskim Seminarium Duchownym – ks. Romuald Jałbrzykowski współzakładał sejneński oddział stowarzyszenia „Žiburys” (pol. Światło). Organizacja promowała litewską oświatę. Jednocześnie Jałbrzykowski miał działać na rzecz zmniejszania wpływów Litwinów w okolicach. Od 1908 r. piastował urząd wicerektora seminarium. To z tego okresu miał znać język litewski, którym później zaskoczy Litwinów – i o czym będzie wspominał Michał Römer.

Okres arcybiskupstwa wileńskiego przyszedł nie spodziewanie. W 1925 r. ze stanowiska arcybiskupa rezygnuje bp Jerzy Matulewicz, postrzegany jako pro-litewski. Na jego miejsce wyznaczono Jana Cieplaka, ten jednak umiera na zapalenie płuc przed objęciem urzędu. Wtedy Stolica Apostolska mianuje metropolitą Romualda Jałbrzykowskiego.

„Polonizator”, „bieło-Polak”, „lituanizator”.

Niejednoznaczna postać abp. Jałbrzykowskiego

Apolinary Klonowski

Litwini go nienawidzili jako „polonizatora”, Rosjanie jako „bieło-Polaka”. Przyczynił się w 1939 r. do ukrycia insygniów odkrytych w 2024 r. Prowadził ceremonię pogrzebu Basanavičiusa, później także serca marszałka Piłsudskiego. Z natury porywczy i gwałtowny, ujarzmił charakter samodyscypliną. Po wygnaniu z Wileńszczyzny sterował tutejszymi parafiami... zdalnie. Przybliżamy postać abp. Romualda Jałbrzykowskiego.

Nowy pasterz Wileńszczyzny – de facto następca Matulewicza – nie miał więc prawie szans przypodobać się Litwinom. Nie był ani „swoj”, ani nawet nie był z Wileńszczyzny. Niemniej nie można mówić, że był całkiem antylitewski, jak mu często zarzucano.

Jałbrzykowski brał pod swoją opiekę teren ogromny. Ówczesna archidiecezja wileńska była podzielona na 25 dekanatów, 359 parafii. Dawało to łącznie aż 1,2 mln wiernych. Jednak to nie rozmiar stanowił największe wyzwanie. Archidiecezja była bardzo zróżnicowana narodowościowo i wyznaniowo, a nawet obrzędowo. Mieszkali tu Polacy, Litwini, Białorusini, Żydzi, Tatarzy (muzułmanie), Karaimi, także unicy, grekokatolicy. Pamiętajmy, że to było jeszcze przez przetrzebieniem mniejszości narodowych i wyznaniowych przez Niemców i Rosjan, zatem ta różnorodność naprawdę była odczuwalna.

Choć każda z narodowości miała swoje „wyspy”, to Jałbrzykowski musiał być biskupem wszystkich wiernych. Musiał też się liczyć ze stanowiskiem państwa polskiego, które wtedy było skonfliktowane z państwem litewskim. W efekcie Litwini mieszkający w Polsce, tak jak Polacy w Litwie, stali się zakładnikami polityki międzynarodowej.

„Dziakuju” arcybiskupa

Bp Jałbrzykowski swój ingres – czyli ceremonialne objęcie urzędu arcybiskupa – miał w 1926 r. Choć Litwini wyrażali obawy przed przybyciem nowego pasterza, to w czasie ingresu i po nim unikano zadrażnień. Choć bullę papieską o mianowaniu biskupa odczytano po łacinie i po polsku, co zostało przyjęte z rozczarowaniem.

Jednak Jałbrzykowski wykonał gest wobec Litwinów. Następnego dnia po ingresie odwiedził wileński kościół św. »

Mikołaja. To świątynia skupiająca wileńskich Litwinów. Tam przemówił do zebranych po litewsku, który znał jeszcze ze swojej posługi w diecezji sejmieńskiej. Przyjął powitania od działaczy litewskich, a także białoruskich, na co miał odpowiedzieć po białorusku: „dziakuj” (pol. dziękuję).

Na łamach litewskiej gazety wydawanej w języku polskim „Życie Ludu” tak opisywał to spotkanie redaktor Kazimierz Welecki: „Wyznamy szczerze, iż wieść o wyznaczeniu na arcybiskupa wileńskiego ks. Jałbrzykowskiego, jako kandydata wysuniętego przez endecję polską [endecja, czyli narodowi demokraci, polscy nacjonaliści, odpowiednik litewskich tautininków – przyp. red.] – początkowo napełniła serca mieszanej ludności tu-tejszej głęokim niepokojem. Dziś jednak, gdy ujrzeliśmy go z bliska, żywimy nadzieję, że młody arcybiskup, z oczu którego tryska życie i niespożyta energia, który chętnie mówi w każdym języku swych diecezjan (...) – potrafi chyba zjednać i zadowolić wszystkich katolików naszego kraju”.

Po objęciu archidiecezji przez abp. Jałbrzykowskiego konflikty osłabły. Co więcej, wprowadził on obowiązkową naukę litewskiego dla kleryków, by mogli posługiwać litewskim wiernym. Jednak poziom nauczania prowadzony przez ks. Wincentego Taszkuna – według relacji – był bardzo niski, a księża Polacy nie opanowywali języka, co budziło podejrzenia o politykę asymilacyjną. Pojawiały się wręcz zarzuty, że to celowe, iż ks. Taszkun „uczy tak, by nie nauczyć”.

Nadchodził kolejny trudny czas dla relacji polsko-litewskich. Na Litwie po przewrocie państwowym grudnia 1926 r. coraz głośniejsze podnoszono wpisanie do konstytucji „stolicy w Wilnie”, a premier Augustinas Voldemaras przekonywał, że przewrót udaremnił komunistyczne powstanie organizowane przez Polskę. Polska po swoim – wcześniejszym – przewrocie również się radykalizowała. W Kownie mówiono o „zrobieniu porządku z Polakami”, a w Warszawie – z Litwinami.

„Nad trumną Wielkiego Litwina znaleźliśmy język”

Wkrótce jednak, w 1927 r., w kolejną rocznicę Aktu Niepodległości 16 lutego, umiera Jonas Basanavičius.

Po objęciu archidiecezji przez abp. Romualda Jałbrzykowskiego konflikty na jakiś czas osłabły.

Co więcej, wprowadził on obowiązkową naukę litewskiego dla kleryków, by mogli posługiwać litewskim wiernym.

Bardzo aktywne Litewskie Towarzystwo Naukowe oraz Tymczasowy Komitet Litewski podały do wiadomości publicznej informację o śmierci patriarchy narodu litewskiego. Ogłoszenie wydrukowane w „Kurjerze Wileńskim” w 1927 r. zapowiadało, że nabożeństwo żałobne poprowadzi właśnie abp Jałbrzykowski. „Nabożeństwo żałobne w poniedziałek 21 lutego o godzinie 9:30 w Bazylice. Mszę Św. będzie celebrował J.E. Arcybiskup Jałbrzykowski” – czytamy w ogłoszeniu.

Wizytę litewskiej delegacji, atmosferę wokół ceremonii, wypowiedzi – wszystko to odbierano jako dobre sygnały. „Uroczystości i spotkania związane z pogrzebem Basanavičiusa stały się spontaniczną manifestacją zbliżenia i dobrej woli” – oceniał to wybitny badacz historii Litwy, prof. Piotr Łossowski.

„Nad trumną Wielkiego Litwina znaleźliśmy język wspólny – język wzajemnego szacunku i sympatii.

Znajdźmy go przy budowaniu lepszej przyszłości. Ani odrębności narodowe w społeczeństwie wileńskim, względnie kowieńskim, ani dzisiejsze granice państwowe nie powinny być tamą dla wspólnej pracy, której cele są wielkie, choć może dalekie” – pisał w lutym 1927 r. po ceremoniach pogrzebowych „Kurier Wileński”.

Jednak jaskółki dobrych gestów nie przyniosły w relacjach polsko-litewskich wiosny. Tego samego roku relacje uległy ponownemu załamaniu. Na Litwie we wrześniu miał miejsce kontrzamach, który się nie udał. Organizator Jeronimas Plečkaitis zbiegł do Wilna, padły zarzuty, że Polska wspierała ów zamach.

Pogarszające się relacje – często w swoich objawach przypominające bezmyślność nacjonalistów dnia dzisiejszego, na których opisywanie szkoda tu miejsca – odbiły się także na życiu archidiecezji. W pewnym momencie doszło nawet do aresztowania litewskich księży. Za niektórych z nich, trzeba pamiętać, Jałbrzykowski poręczył u wojewody wileńskiego, aby zostali wypuszczeni.

Dwa pogrzeby marszałka Piłsudskiego

W 1935 r. umiera marszałek Józef Piłsudski. Wilno miało dwa pogrzeby marszałka, z czego jeden symboliczny. Pierwszy, 18 >>



Abp Romuald Jałbrzykowski był świadkiem odkrycia krypty królewskiej po powodzi 1931 r. (z krzyżem na piersi) Fot. NAC, oprac. A.K.

maja 1935 r., gdy ciało Józefa Piłsudskiego składano na Wawelu – wówczas abp Romuald Jałbrzykowski odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne w kościele św. św. Jana. Przez Wilno jechał symboliczny katafalk bez ciała. Marszałka żegnali wierni Wilna – i to wierni wszystkich wyznań. Modły odbywały się w kościołach ewangelickich, cerkwiach. W Wielkiej Synagodze tłum się nie zmieścił.

Dwa tygodnie później, 31 maja 1935 r., serce Marszałka przybyło do Wilna. Jednak należało najpierw przygotować miejsce na Rossie, aby w pełni uszanować testament Piłsudskiego. Gdy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, rok później, 12 maja 1936 r., abp Jałbrzykowski celebrował w kościele św. Teresy nabożeństwo żałobne. W 1935 r. marszałka żegnała Polska – a w 1936 r. samo Wilno, ukończone miasto Marszałka.

Kłębiły się czarne chmury

Świat tymczasem pograżał się w antagonizmach. Związek Sowiecki coraz chętniej demonstrował, że nie zrezygnował z imperialnorosyjskich zapędów. W Niemczech coraz silniejszy głos miały

„Nad trumną Wielkiego Litwina znaleźliśmy język wspólny – język wzajemnego szacunku i sympatii. Znajdźmy go przy budowaniu lepszej przyszłości” – pisano w 1927 r. po pogrzebie Basanavičiusa. Jednak jaskółki dobrych gestów nie przyniosły w relacjach polsko-litewskich wiosny.

środowniska, które chciały zrzucić „wersalski ład wstydu” po I wojnie światowej. Ostatecznie Polska i Litwa znalazły się między Hitlerem i Stalinem. Gdy w Monachium podzielono Czechosłowację, aby „zapewnić pokój dla naszych czasów” (Lloyd Chamberlain), los Europy był przesądzony. Nawet ogłoszona przez kraje bałtyckie neutralność nie pomogła. Niemcy upomniwały się o Kłajpedę (i ją dostały), a Polskę i kraje bałtyckie podzielono między siebie.

Abp Romuald Jałbrzykowski najwyraźniej rozumiał, że pewne scenariusze są nieuniknione. Po przejściu ciężkiej choroby zaczął dbać, aby duchowieństwo jego diecezji było przygotowane na prowadzenie duszpasterstwa w warunkach wojny. Miał w tym doświadczenie, bo jeszcze w czasie I wojny światowej był aresztowany. Gdy wojna

wybuchła, Jałbrzykowski nadał księżom specjalne uprawnienia.

Niejasna pozostawała sprawa Wilna. Niemcy złożyły Litwie propozycję zajęcia Wilna i otwarcia drugiego frontu z Polską. Litwa odrzuciła tę ofertę i potwierdziła neutralność. Jednak gdy Sowieci zdradziecko wzięli

Wilno 18 września, przekazali go Litwie. Pojawiły się naciski, aby „polskiego nacjonalistę” Jałbrzykowskiego usunąć z urzędu.

„Nacjonalista polski, Mazur”

Podobne zarzuty wyłuskiwał później Michał Römer, który zresztą za Jałbrzykowskim otwarciem nie przepadał. W swoich obszernych pamiętnikach pisał, że Jałbrzykowski to „nie tylko rodowity Polak, Mazur z Łomżyńskiego, ale wręcz nacjonalista polski skrajny, usiłujący przez Kościół forsować polonizację Wileńszczyzny i tłumiący systematycznie wszelkie przejawy i usiłowania litewskie w kościele”. Dodawał, że biskup „umie dobrze po litewsku, ale ta okoliczność nie łagodzi wcale jego nastawienia antylitewskiego”.

Miał zresztą do Jałbrzykowskiego pretensje o flagi i dzwony. Zarzucał, »



Uroczystości złożenia serca marszałka do mauzoleum, wileńska Rossa Fot. NAC

że na wejście Sowietów wywiesił flagę, a na wejście Litwinów już nie, chociaż Litwini przychodzili jako państwo katolickie. „Stał się symbolem Kościoła polonizującego. Przez Litwinów jest znienawidzony. Był też w bliskim kontakcie z głośnym wojewodą wileńskim Bociańskim, notorycznym litwinożercą. Gdy do Wilna przyszli Litwini, Jałbrzykowski traktował i traktuje dotąd rządy litewskie jako okupacyjne” – pisał.

Jednak, gwoździ ścisłości, Römer też zaznaczył, z czego taka postawa arcybiskupa wynikała. „Miał się [Jałbrzykowski] nawet wyrazić: »Nie mamy potrzeby każdemu okupantowi dzwonić«. Jałbrzykowski i jego otoczenie natomiast zarzuca to, że pełnomocnik rządu Merkys [pełnomocnik władz litewskich – przyp. red.] nie złożył arcybiskupowi wizyty. Wszakże Litwini odpowiadają, że skoro nie było chorągwi na powitanie, to i wizyty nie ma” – przytacza sytuację Römer.

Gdy Watykan nie chciał spełnić próśb o usunięcie Jałbrzykowskiego, rozpoczęto naciski, aby zrezygnował. Jednak jak to zwykle bywa, gdzie dwóch się bije, tam korzysta Kreml. Tymczasem w 1940 r. Litwa została zaanektowana przez Związek Sowiecki – razem z Wilnem i swoją neutralnością. Sprawa stała się jeszcze bardziej skomplikowana. Abp. Jałbrzykowski Sowieci wyrzucili z rezydencji.

W obliczu okupacji, a później niemiecko-sowieckiej wojny, polsko-litewskie niesnaski zeszły na drugi plan. W 1941 r. Jałbrzykowski dbał o to, aby na tereny Białorusi docierali duszpasterze. Jednak po nasilających się represjach akcję należało przerwać.

Niemiecki areszt

Wkrótce represje Niemców dotknęły samo Seminarium Duchowne w Wilnie. Biskup Jałbrzykowski, jak wielu innych duchownych oraz profesorów, zostaje w 1942 r. aresztowany. Był przetrzymywany w Mariampolu. Ludzie Kościoła donosili mu leki, gdyż zdrowie miał nie najlepsze. Był przetrzymywany aż do zajęcia Mariampola przez Sowietów w sierpniu 1944 r.

Biskup wrócił do Wilna i niemal od razu wznowił działalność seminarium. Jednak nie znaczyło to powrotu do normalności. But Niemca został zamieniony na – dla Wileńszczyzny bardzo znajomy – but Rosjanina. Sowieci

zaczęli wywózki na Sybir, więc wielu księży uciekało – chociaż Jałbrzykowski zakazywał opuszczania placówek.

W styczniu 1945 r. do (nowej) rezydencji biskupa weszło NKWD. W czasie rewizji zerwano nawet podłogę. Aresztowano arcybiskupa i ks. Adama Sawickiego. Sowieci osadzili ich na Łukiszkach, w celi, w której brakowało szyb (była zima). Szarytka s. Maria Nowak dobrowolnie poszła do więzienia, aby tam dbać o arcybiskupa – opisywała sowieckie metody przesłuchiwania, np. niedawanie spać, wielogodzinne „komisje”. Po miesiącu ze względu na zły stan zdrowia arcybiskupa zwolniono za zobowiązaniem do nieopuszczania miasta.

Wyrok: opuścić ZSRS

W Moskwie wydano wyrok, względnie łagodny: wydalić ze Związku Sowieckiego. Podobny los zresztą czekał innych Polaków stanu duchownego. W dniu, kiedy z aresztu zwolniono arcybiskupa, do gmachu seminarium w Wilnie wszedł oficer sowiecki i obwieścił: „No, teraz, Litwini, wyjeżdżajcie do seminarium w Kownie, a Polacy od razu wyjeżdżajcie do Polski”.

„Wygnańcy” z arcybiskupem na czele przybyli do Białegostoku. Jałbrzykowski przeniósł wtedy wileńskie seminarium właśnie do tego miasta. Przybyli tu również profesorowie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (dzisiaj Uniwersytet Wileński). Można więc twierdzić, że wileńskie seminarium i uniwersytet stały się pierwszymi uczelniami wyższymi w historii Białegostoku.

Białystok wciąż pozostawał w granicach archidiecezji wileńskiej, chociaż już rozdzielony granicą pomiędzy Polską Rzeczpospolitą Ludową a Związkiem

W obliczu okupacji, a później niemiecko-sowieckiej wojny, polsko-litewskie niesnaski zeszły na drugi plan. W 1941 r. Jałbrzykowski dbał o to, aby na tereny Białorusi docierali duszpasterze. Jednak po nasilających się represjach akcję należało przerwać.

Sowieckim. Jałbrzykowski zaś odtworzył administrację archidiecezji wileńskiej. Z kolei „sowiecką” częścią archidiecezji zarządzał... zdalnie. Obowiązki rozdzielił między czterech wikariuszy: abp Mieczysław Reinys zajmował się częścią „litewską”, a ks. Antoni Kuryłowicz, ks. Hipolit Bojaruniec oraz ks. Antoni Zienkiewicz częścią „białoruską”.

Wkrótce jednak władze komunistyczne dobrały się i do tych pozostałości archidiecezji wileńskiej. Pod groźbą nakazu wyjazdu z Białegostoku na Zachód zakazano nazywania archidiecezji „wileńską”, z kolei księża podlegający Jałbrzykowskiemu, ale pracujący na zachodzie Polski, mieli poddać się lokalnej władzy kościelnej.

W 1948 r. władze komunistyczne zlikwidowały „zamiejscowy” Wydział Teologiczny USB. Tak burzliwy los archidiecezji wileńskiej chylił się ku końcowi. Ku końcowi chylił się też bogaty żywot arcybiskupa.

Abp Romuald Jałbrzykowski ostatnie lata spędził, chorując. Wojny i okupacje odcisnęły swoje piętno. Zmarł 19 czerwca 1955 r. Prowadził surowy żywot, chciał takiego też pogrzebu – nie zgodził się na składanie kwiatów. ■

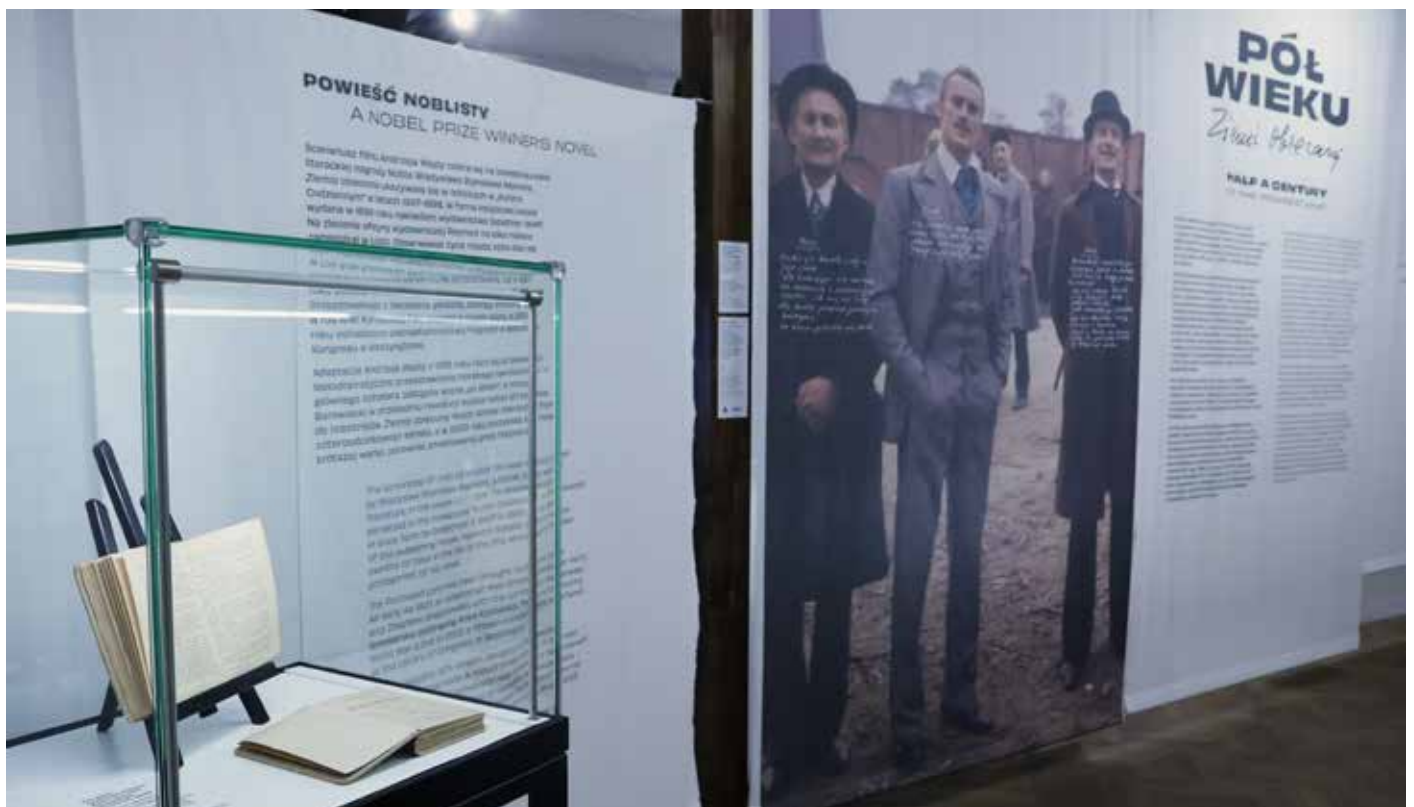
Źródła wykorzystane w artykule: „Archidiecezjalne Wyższe Seminarium Duchowne w Białymstoku 1945-1995. Księga jubileuszowa”, Białystok 1995; „Kurier Wileński”, roczniki 1926, 1927; „Terra jatwezenorum”, tom I, Puńsk 2009; Tadeusz Bujnicki, „Na pograniczach, Kresach i poza granicami: studia”, Białystok 2014; Piotr Paweł Chabiera, „Marian Morelowski (1884-1963) – historyk sztuki, kolekcjoner, ekspert komisji rewindykacyjnych”, Warszawa 2020; Małgorzata Dolistowska, „Upamiętnić Marszałka. Wilno i Kresy północno-wschodnie w hołdzie Józefowi Piłsudskiemu – monumenty, miejsca i architektoniczne »pomniki żywe«”, Białystok 2020; Joanna Januszewska-Jurkiewicz, „Stosunki narodowościowe na Wileńszczyźnie w latach 1920-1939”, Katowice 2011; ks. Tadeusz Kasabuła, „Deo et Populo – Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski”, Białystok 2020; Piotr Łossowski, „Po tej i tamtej stronie Niemna. Stosunki polsko-litewskie 1883-1939”, Warszawa 1985; Michał Römer, „Dzienniki 1939-1945”, tom 6, Warszawa 2019.

Pół wieku „Ziemi obiecanej”.

Wizyta w Muzeum Kinematografii w Łodzi

Jarosław Tomczyk

50 lat temu na ekrany weszła „Ziemia obiecana” w reżyserii Andrzeja Wajdy, na podstawie powieści Władysława Reymonta. – To dzieło ponadczasowe, w zorganizowanym przez nas plebiscycie wybrane jako polski film wszech czasów – mówi Zuzanna Woźniak, kuratorka z Muzeum Kinematografii w Łodzi.



Wystawę „Pół wieku »Ziemi obiecanej«” można oglądać w łódzkim muzeum do 4 maja **Fot. Kornel Nocoń, Muzeum Kinematografii w Łodzi**

– Już od kilku lat wiedzieliśmy, że okrągłą rocznicę premiery „Ziemi obiecanej” będziemy chcieli obchodzić w szczególny sposób – informuje nas Zuzanna Woźniak, która razem z Rafałem Andrzejczakiem, Marzeną Bomanowską i Anną Michalską tworzy zespół kuratorski wystawy „Pół wieku »Ziemi obiecanej«”, którą otwarto w Muzeum Kinematografii w Łodzi.

– Powodów było przynajmniej kilka. Do najważniejszych zaliczyłabym fakt, że nasze muzeum mieści się w zabytkowych wnętrzach pałacu łódzkich fabrykantów Anny i Karola Scheiblerów, w których Wajda kręcił zdjęcia. Druga przyczyna to znaczenie samego filmu. W 2015 r. wśród filmowców, filmoznawców, aktorów, scenarzystów, czyli ludzi związanych z kinematografią, przeprowadziliśmy plebiscyt „12 filmów na 120-lecie kina”. „Ziemia obiecana” wygrała w kategorii polskich filmów – przypomina.

W niesamowitym tempie

Scenariusz „Ziemi obiecanej” Andrzej Wajda oparł na powieści Władysława Stanisława Reymonta, laureata Literackiej Nagrody Nobla, który uchwałą Senatu RP jest patronem roku 2025 (w tym roku przypada setna rocznica śmierci pisarza). Pierwowzór powieści ukazywał się w odcinkach, w latach 1897–1898 w „Kurierze Codziennym”. Pierwsze wydanie książkowe ukazało się w roku 1899 w Warszawie.

Pierwsza adaptacja filmowa, niemy film w reżyserii Aleksandra Herta i Zbigniewa Gniazdowskiego, z wielką gwiazdą tamtej epoki Jadwigą Smosarską w roli Anki Kurowskiej, pochodzi z 1927 r. Z pełnometrażowego dzieła zachowało się jedynie 15 minut, które można zobaczyć w Muzeum Kinematografii.

Wajda realizację swojego filmu chciał rozpocząć już w 1967 r. – Nie spodobał mu się jednak otrzymany sce- ➤

nariusz – tłumaczy Zuzanna Woźniak. – Przymierzał się do ekranizacji wiele lat. Ostatecznie stworzył swoją wersję scenariusza, a film był zrealizowany i nagrywany w 1974 r. Mamy notatkę reżysera, która otwiera zwiedzanie. Jest na niej zapisane: „Zaczynam naprawdę »Ziemię obiecaną«. 10 lutego 1974”. To wyjątkowe i dzisiaj niespotykane, żebyśmy mieli premierę filmu o takim rozmachu już rok później. Równolegle pracowały dwie ekipy zdjęciowe. Głównym zespołem zarządzał Wajda, pozostałymi drudzy reżyserzy Andrzej Kotkowski i Jerzy Domaradzki. Tempo pracy było bardzo intensywne. Aktorzy, którzy pracowali w teatrach, wieczorami jeździli na spektakle, a rano wracali na plan. To tempo produkcji czuć w filmie, jest on bardzo dynamiczny, oddaje też tempo życia Łodzi tamtego okresu.

Kurorka zwraca uwagę, że zarówno pierwowzór książkowy, jak i film zawierają elementy dokumentujące, związane z Łodzią. Na wystawie można oglądać refotografie Stefana Brajtera, który zestawiał kadry z „Ziemi obiecanej” ze współczesnymi zdjęciami tych samych miejsc w Łodzi. Powieść Reymonta była zapisem rodzącego się najmłodszego miasta na polskich ziemiach, które bardzo szybko się rozwinęło, ściągając mieszkańców nie tylko okolic, lecz całego zaboru rosyjskiego.

– Twórcy filmu nie kryją, że 50 lat temu to był ostatni moment na jego realizację, z czego Andrzej Wajda doskonale zdawał sobie sprawę – kontynuuje Woźniak. – Lokacje prezentowane w filmie, wnętrza fabryczne, wnętrza pałaców fabrykantów czy panorama ulic czekały, żeby ten film nagrać w Łodzi. Mamy w filmie panoramy rejonów chwilę później przebudowanych i zmienionych w olbrzymie blokowisko. Teraz zrealizować ten film byłoby bardzo trudno.

Notatki Wajdy

Oficjalna premiera „Ziemi obiecanej” odbyła się 21 lutego 1975 r. w warszawskim kinie Relax. Film został świetnie przyjęty przez publiczność. W roku premiery obejrzało go ponad 6,5 mln widzów. Mimo że krytycy filmowi zarzucali mu odbieganie od pierwowzoru literackiego, a nawet obsceniczność, produkcja zdobyła najważniejsze polskie laury, w tym



Notatki Andrzeja Wajdy są ważnym elementem wystawy. Na zdjęciu: jedna z kuratorek Anna Michalska **Fot. Kornel Nocoń, Muzeum Kinematografii w Łodzi**

Złote Lwy na festiwalu w Gdańsku.
Film zdobył też nominację do Oscara
w kategorii filmu nieanglojęzycznego.

– Przygotowując wystawę, nawiązaliśmy współpracę z Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” w Krakowie, w którym znajduje się Archiwum Andrzeja Wajdy – mówi Zuzanna Woźniak. – Archiwum udostępniło nam notatki, zapiski, dokumenty związane z produkcją filmu. Atrakcyjne dla filmoznawców, ale zwiedzający nie mogą ich dotykać, bo są to bardzo wartościowe rzeczy. W związku z tym pokazujemy wybór oryginalnych dokumentów w gablotach, a część notatek powiększyliśmy i wydrukowaliśmy na dużych fragmentach tkaniny bawełnianej, które są aranżacją wystawy. W ten sposób zwiedzający mogą zobaczyć, co notował Andrzej Wajda na różnych etapach produkcji filmu.

Aktorzy też zwiedzają

W „Ziemi obiecanej” wystąpiło ponad 50 aktorów i przeszło 100 statystów. W Archiwum Andrzeja Wajdy, wśród roboczych notatek reżysera, można znaleźć wiele odmiennych pomysłów obsadowych. Od początku pewna była tylko rola Karola Borowieckiego powierzona Danielowi Olbrychskiemu. Wśród kostiumów prezentowanych na ekspozycji można zobaczyć jego letni garnitur czy też suknie trzech kobiet jego życia, czyli: Kaliny Jędrusik jako Lucy Zuckerowej, Anny Nehrebeckiej jako Anki Kurow-

skiej i Bożeny Dykiel jako Mady Müller, ostatecznie jego żony.

– Pokazujemy także rekwizyty z planu zdjęciowego – dodaje pani kurator. – Na przykład laskę Bucholca, jednego z fabrykantów. Laska została zachowana przez rekwizytora Jerzego Razakiewicza i jest prezentowa wraz z opowieścią o tym, jak trafiła do niego, a potem na plan filmowy. Prezentujemy też wybrane fragmenty samego filmu, bo bez tego nie byłoby przecież możliwości opowiadania o nim.

– W rocznicę premiery odwiedzili nas Daniel Olbrychski, Andrzej Seweryn i Anna Nehrebecka – relacjonuje Zuzanna Woźniak. – Zobaczyli wystawę, która bardzo im się podobała. Byli wzruszeni, wspominali współpracę na planie z Andrzejem Wajdą. Słysząc było w ich wypowiedziach poczucie wyjątkowości tej historii, jej znaczenia. Wizyta u nas była dla aktorów pewną nostalgiczną formą powrotu do młodości i wcześniejszych lat.

Film zachwyca znakomitymi kreacjami nie tylko wymienionych już aktorów, lecz także Wojciecha Pszoniaka czy Piotra Fronczewskiego. W pamięci pozostają znakomite zdjęcia autorstwa Witolda Sobocińskiego, Edwarda Kłosińskiego i Wacława Dybowskiego. Niezapomnianą muzykę skomponował Wojciech Kilar.

Wystawa „Pół wieku »Ziemi obiecanej«, którą oglądać można w łódzkim muzeum do 4 maja, jest współfinansowana ze środków Miasta Łodzi oraz Stowarzyszenia Filmowców Polskich. ■



Simona Kossak w obiektywie swojego wieloletniego przyjaciela i współlokatora „Dziedzinki”, fotografa Lecha Wilczka **Fot. Lech Wilczek, dzięki uprzejmości Wydawnictwa Marginesy**

Takie pochodzenie to oznaka dumy, ale może onieśmiewać. I tak też było w przypadku Simony, która czuła się przytłumiona wielkimi osobowościami rodu, sama nie widząc w sobie talentu, jaki od pokoleń definiował rodzinę.

Nestorzy rodu

Jej pradziadkiem był Juliusz Kossak, uznany malarz „od koni”, lubujący się w scenach historyczno-batalistycznych, dziadkiem – kolejny malarz, Wojciech Kossak, a ojcem – Jerzy Kossak, także malarz.

Kobiety w tym rodzie również wykazywały talenty. Córka Wojciecha Kossaka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska została poetką, druga córka Magdalena Samozwaniec realizowała się jako pisarka satyryczna, z kolei jego bratanica – Zofia Kossak-Szczucka pisała m.in. powieści historyczne, w czasie II wojny światowej była założycielką „Żegoty”. Malarką i poetką została także starsza siostra Simony, Gloria Kossak.

I tylko ona, Simona, jak ta czarna owca w rodzinie, nie chwyciła ani za pędzel, ani za pióro. Ale właściwie w jej przypadku to nieprzychylnie określenie nie było wcale obraźliwe, bo ona nad życie kochała zwierzęta: czarne czy białe, śliczne czy brzydkie, przynosiła je poranione do domu i pielęgnowała. Była wielką miłośniczką przyrody.

I dziś, oczywiście, choć pamiętamy o jej sławnych dziadkach, oglądając ich wspaniałe płótna w muzeach czy sięgając po wiersze i prozę jej słynnych ciotek – to o Simonie mówi się obecnie najwięcej.

O jej niezwykłym życiu opowiada niemało artykułów, słuchowisk, filmów dokumentalnych. Powstały dwie biograficzne książki, jedna autorstwa wieloletniego przyjaciela ekolożki, fotografa Lecha Wilczka, który barwnie opowiada o ich wspólnym, ponadtrzydziestoletnim bytowaniu w Puszczy Białowiejskiej, oraz książka Anny Kamińskiej pt. „Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak” (2015).

Simona Kossak, czarna owca w słynnej rodzinie malarzy

Brenda Mazur

Simona pochodziła z klanu Kossaków, więc siłą rzeczy miała rodowód wybitny, wręcz arystokratyczny. Kossakowie bowiem to znana artystyczna rodzina, która przez cztery pokolenia służyła swoim talentem kulturze i nauce polskiej. Simona Kossak wybrała mniej tradycyjną, acz fascynującą ścieżkę...

Na podstawie tej ostatniej książki powstał scenariusz i film w reżyserii Adriana Panka pt. „Simona Kossak” (2024). I ten właśnie film zostanie zaprezentowany wileńskiej publiczności 4 marca br. w Domu Kultury Polskiej w ramach 5. Spotkań z Kinem Polskim. Wcześniej warto przybliżyć niezwykle dzieje rodziny Kossaków: malarzy, poetek i pisarek i samej Simony.

Dzieciństwo Simony Kossak

Jej przyjście na świat 30 maja 1943 r. nie było wcale radosnym dniem. „To miał być syn Jerzego, wnuk Wojciecha i prawnuk Juliusza (...). To miał być czwarty Kossak, męski potomek, dziedzic, który miał przejąć rodzinną pracownię przy pl. Juliusza Kossaka 4 w Krakowie, miał dźwigać sztalugi i znane nazwisko oraz przedłużyć dynastię (...). Na niego czekała cała rodzina” – pisała Anna Kamińska. Jerzy Kossak był rozczarowany przyjściem na świat kolejnej dziewczyny. Miał już dwie córki: Marię z pierwszego małżeństwa z Ewą Kaplińską i Glorię, której doczekał się z drugą żoną, Elżbietą Dzieciółowską-Śmiałowską.

Ale i jego piękna żona, zwana przez rodzinę pieszczotliwie Dziunią, nie była szczęśliwa. Nie wiadomo, o co chodziło, ale faktem jest, że nie była wzorową matką, nie przykładła się do obowiązków rodzicielskich, ani nad starszą córką Glorią, i tym bardziej nie chciała zajmować się nowo narodzoną Simoną – słabym niemowlakiem, które urodziło się z rozszczepionym podniebieniem i krzywicą. Dla Elżbiety Kossak ważniejsze były spotkania towarzyskie i przyjemności dnia codziennego. Córkami zajmowała się niania, poinstruowana, jak należy postępować z dziewczynkami.

Glorii wiele rzeczy uchodziło płazem, lecz Simonie nie folgowano. Wychowywana w atmosferze rygoru, ciągle słyszała, czego nie może. A nie mogła m.in.: zapraszać koleżanek, bujać się na krześle, trzymać łokci na stole, jeść szybko, mlaskać, chrząkać, głośno gadać i śpiewać, a już na pew- ➤

no nie mogła zaglądać do pracowni ojca, by popatrzeć, jak ten maluje. Tego zaszczytu dostępowala jej starsza siostra Gloria, którą interesowały farby, sztalugi i cała ta atmosfera bohemy krakowskiej. I jak się okazało, otrzymała w spadku po krewnych talent malarski. Ojciec był zachwycony.

Tak więc dzieciństwo Simony upływało w cieniu wspaniałej siostry, która nie dość, że była utalentowana, to jeszcze bardzo ładna. Za to Simona miała charakter i wolę walki. Im bardziej rodzina ją ignorowała, tym bardziej była zdeterminowana, aby udowodnić sobie i innym, że jest coś warta. „W dzieciństwie i młodości bardzo często przeżywałam strach przed innymi ludźmi i chyba dorastając doszłam do wniosku, że jest to najbardziej upokarzające uczucie, jakie można przeżywać, ale się z tego strachu wyzwoliłam” – czytamy w książce Lecha Wilczka.

Zahartowana, stanowcza i desperacka

Znalazła ukojenie w bliskości zwierząt, jakby na przekór rygorystycznemu wychowaniu odbierała ogromną radość w obcowaniu wśród „braci mniejszych”. Od najmłodszych lat ganiała z psami, godzinami wpatrywała się w ptaki i niańczyła te, które wypadły z gniazda, do domu zносиła robaki i zdechłe myszy, by przeprowadzać na nich „eksperymenty”. Z zaskakującą łatwością nawiązywała więź z każdym zwierzęciem, traktując je z empatią i czułością, których brakowało jej w rodzinnym domu. Od dzieciństwa karmiona przekonaniem, że nie spełniła oczekiwań, uruchomiła wiele mechanizmów obronnych. I znalazła w sobie siłę, która pozwoliła jej odnaleźć własną drogę.

Zanim to nastąpiło, po zdaniu matury w 1961 r. próbowała bez powodzenia dostać się do szkoły aktorskiej. Następnie zaczęła studiować filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mimo że Simona miała w sobie mnóstwo miłości do literatury, to studia polonistyczne nie spełniły jej oczekiwań i po pierwszym roku zrezygnowała („nudą wiały wykłady z gramatyki opisowej”, jak wspominała).

Potem próbowała też dostać się na historię sztuki, ale się nie udało. I niespodziewanie w 1962 r. zaczęła pracę w Instytucie Zootechniki w podkrakowskich Balicach, co prawda na po-

czątku na stanowisku telefonistki, ale to był początek jej drogi, która doprowadziła ją do szczęścia i spełnienia. To tam w jej głowie zaczęła kiełkować myśl o zdawaniu na biologię.

Z zaangażowaniem przygotowywała się do egzaminów, gdyż mimo miłości do zwierząt biologią, a przede wszystkim chemią, nie była jej mocną stroną. Pierwsze podejście było nieudane, oblała właśnie chemię. Podeszła rok później – tym razem z sukcesem. Pod koniec września 1964 r. zakończyła więc pracę w Instytucie Zootechniki i rozpoczęła studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czula się tam jak ryba w wodzie. Najbardziej podobały się jej zajęcia z zoopsychologii prowadzone przez prof. Romana Wojtusiaka, który zrozumiałym dla każdego studenta językiem opowiadał o zachowaniach zwierząt i o tym, jak je interpretować.

To właśnie prof. Wojtusiak został promotorem pracy magisterskiej Simony, która postanowiła pisać o dźwiękach wydawanych przez ryby. Była to dla niej bardzo osobista praca. W domu rodzinnym przez całe swoje dzieciństwo słyszała, że „dzieci i ryby głosu nie mają”, a teraz miała szansę, aby udowodnić, że jednak mają. I udowodniła.

Mimo że dorosła, w domu nic się nie zmieniło, nie czula się dobrze, a dokładniej – czula się w nim coraz gorzej. Ojciec już od lat nie

Simonę i Lecha Wilczka, zamieszkujących „Dziedzinkę”, uważano za dziwaków. Z czasem ich wzajemny stosunek przerodził się w trudny do określenia związek będący mieszaniną szorstkiej przyjaźni i miłości. Łączyła ich miłość do Puszczy Białowieskiej.

żył, a schorowana matka traktowała córkę jak służącą. Wszystko w tamtym czasie było na jej głowie: robienie zakupów, sprząatanie, prowadzenie całego domu. Siostra zajęta sztuką, także nie okazywała jej choćby minimalnej życzliwości. I w głowie Simony zaczęła się snuć myśl o ucieczce, o wyjeździe z Krakowa, było dalej od Kossakówki. I znalazła swoje miejsce na Ziemi.

Dom pośrodku puszczy

Po obronieniu pracy magisterskiej w 1970 r. zaczęła się rozglądać za miejscem dla siebie. Pragnęła zamieszkać w głuszy, myślała o Tatrach albo Bieszczadach, ale nie znalazła tam odpowiedniej oferty pracy. »



Porządki na ganku leśniczówki „Dziedzinki”, na dole – słynny kruk, który kradł złoto i przynosił je Simonie, a także atakował rowerzystów **Fot. Lech Wilczek, dzięki uprzejmości Wydawnictwa Marginesy**

Propozycja przyszła z Białowieży, tuż przy granicy (wówczas) z ZSRS. Wówczas to był „koniec świata”, podróż z Krakowa trwała 13 godzin, ale onajechała tam jak po wybawieniu. Została zatrudniona w Zakładzie Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk. Jednak miejsce do zamieszkania, które zostało jej przydzielone, nie podobało się jej – były to pracownicze baraki, w których czuła się jak w getcie. Postanowiła sama poszukać takiego, które by jej odpowiadało, gdzie mogłaby w ciszy i spokoju prowadzić swoje obserwacje i badania. Tak trafiła na „Dziedzinkę”.

„Dziedzinką” nazywany był pewien urokliwy domek, należący do Białowieżskiego Parku Narodowego, w samym środku puszczy, ok. 6 km od Białowieży, w którym nie było ani bieżącej wody, ani prądu, ani toalety. Chatka przez długi czas stała niezamieszкана i wymagała pilnego remontu. Simona dowiedziała się, że jest ona już obiecana komuś innemu – znanemu warszawskiemu fotografowi Leszkowi Wilczkowi.

Nie zniechęciło to Simony, która wynegocjowała z dyrektorem parku podział domu na pół, gdzie w jednej części mieszkałaby ona, w drugiej fotograf. I tak się stało. Para „była skazana na siebie” przez ponad 30 lat. Ich wspólne zamieszkiwanie nie było łatwe, obydwoje mieli silne charaktery, codziennością były sprzeczki i kłótnie, ale też łączyło ich swoiste poczucie humoru. Do dziś we wspomnieniach Leszka Wilczka krąży opowiadka o tym, jak Simona zamasyżowała belki sufitowe. Na ścianie wisiało cenne poroże jelenia. Wilczek wszedł i przerażony krzyknął: „Tylko mi rogów nie pochłap!”. Riposta była bezcenna: „To się odsuń!”.

Uważano ich za dziwaków. Z czasem ich wzajemny stosunek przerosł się w trudny do określenia związek będący mieszaniną szorstkiej przyjaźni i miłości. Łączyła ich miłość do Puszczy Białowieżskiej. Wyobrażenia Simony o pracy przyrodnika i pozycji młodej kobiety w środowisku zdominowanym przez mężczyzn ulegały bolesnej weryfikacji. Musiała stawiać w obronie nie tylko swoich ideałów, lecz także świata roślin i zwierząt. Słyszeła z bezkompromisowych poglądów i wrażliwości na ich los. Sama siebie określała mianem zoopsychologa.

W uznaniu zasług na polu nauki i popularyzowania ochrony przyrody



W „Dziedzince” znalazło się miejsce dla dzika Żabki (na zdjęciu), lisicy Dusi, szczurów Alfego i Omego, rysicy Agatki, łosi Pepsi i Coli i wielu innych zwierząt

Fot. Lech Wilczek, dzięki uprzejmości Wydawnictwa Marginesy

Simona Kossak otrzymała w 1997 r. od ministra środowiska odznakę honorową „Za Zasługi dla Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej”, w 2000 r. od prezydenta RP – Złoty Krzyż Zasługi.

Już za życia stała się żywą legendą. Od kwietnia 2001 r., przez sześć lat, codziennie na antenie Radia Białystok opowiadała ciekawie i z sercem o rozmaitych stworzeniach, starając się uczulić ludzi na los braci mniejszych. Gawędy „Dlaczego w trawie piszczy?” zawsze miały rzesze wiernych słuchaczy, zafascynowanych za-

równy przyrodą, jak i porywającym, emocjonalnym sposobem opowiadania Simony Kossak.

Do dziś jest ikoną Podlasia – mieszkańcy Białowieży czy Hajnówki mówią o niej z dumą „nasza Simonka”.

Zmarła po długiej i ciężkiej chorobie, 15 marca 2007 r., w białostockim szpitalu klinicznym. Została pochowana na cmentarzu parafialnym w Porytem k. Stawisk – miejscowości, w której wzięli ślub jej dziadek, Wojciech Kossak z babką Marią z Kisielnickich. ■

Warto wybrać się na film „Simona Kossak” (2024, reż. Adrian Panek), który wprowadzi nas w niepowtarzalne relacje z przyrodą. Poznamy tam kobietę o szczerej i naturalnej charyzmie, wyjątkowej osobowości. W głównych rolach: jako Simona Kossak – Sandra Drzymalska, w roli fotografa i przyjaciela Simony, Lecha Wilczka – Jakub Gierszał, Borys Szyk jako dyrektor Batur, Agata Kulesza gra matkę Elżbietę Kossak, Marianna Zydek – Głorię Kossak.



Spotkania z Kinem Polskim #5 SIMONA KOSSAK

4 marca 2025, 18:30

Dom Kultury Polskiej w Wilnie (sala teatralna)

Reżyseria:

Adrian Panek

Scenariusz:

Adrian Panek

Obsada:

Sandra Drzymalska, Jakub Gierszał,
Agata Kulesza, Borys Szyk, Marianna
Zydek, Olga Bołgdi, Dariusz Chojnacki,
Nika Wicharz, Marta Stalmierska

Organizatorzy:



Bilety do nabycia: kakava.lt

Sponsor nagród – Ex Libris Galeria Polskiej Książki

Cotygodniowe losowanie nagród za rozwiązanie krzyżówki. Kupon z rozwiązaniem krzyżówki można nadsyłać do 7 marca na adres redakcji: „Kurier Wileński” Birbinyń g. 4A LT-02121 Vilnius lub pocztą elektroniczną: reklama@kurierwileński.lt. Wyniki zamieścimy 15 marca.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z 15 LUTEGO

Poziomo: KLAMOT - TOKARKA - APARATURA - MINER - KARCZMA - MEDIACJA - BAGAŻ - CAŁUSEK - SKUWKA - ERNEST - SZPANNERKA - EKONOM - SCHOLA - DRAGON - HANIN - AZYLANT - APOSTOŁ - GLEMP - SERDELEK - OKAZ - SZKRAB - BIBOSZ - ŁYKO - KWESTA - BOROWINA - OSAKA - IMPAS - GRANIT - WINIETA - KORKI - KAREL - NAWAŁA - SZARUGA

Pionowo: LAMETA - SERIAL - SYBERIA - RAPID - ŁEZKA - PESZKO - MANITU - POGROM - KORONKA - KOREA - SIANO - SPÓR - OSIÓŁ - TARCIE - NONET - WATRA - KREM - OSOBNIK - TUKAN - WAŁEK - NAWIS - KORA - SEKS - RABKA - KARB - KRACHY - DZIWI - INKA - CAŁUN - HALLE - BEZMIAR - BRYZG - WERONA - LAOS - PERU - MARKS - LINDE - STRATEG - PASAŻ - ATLANT - KOZA - SALA

Hasło: Bezzwłoczna decyzja

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z 15 lutego, została rozlosowana nagroda książkowa, którą ufundowało wydawnictwo Ex Libris.

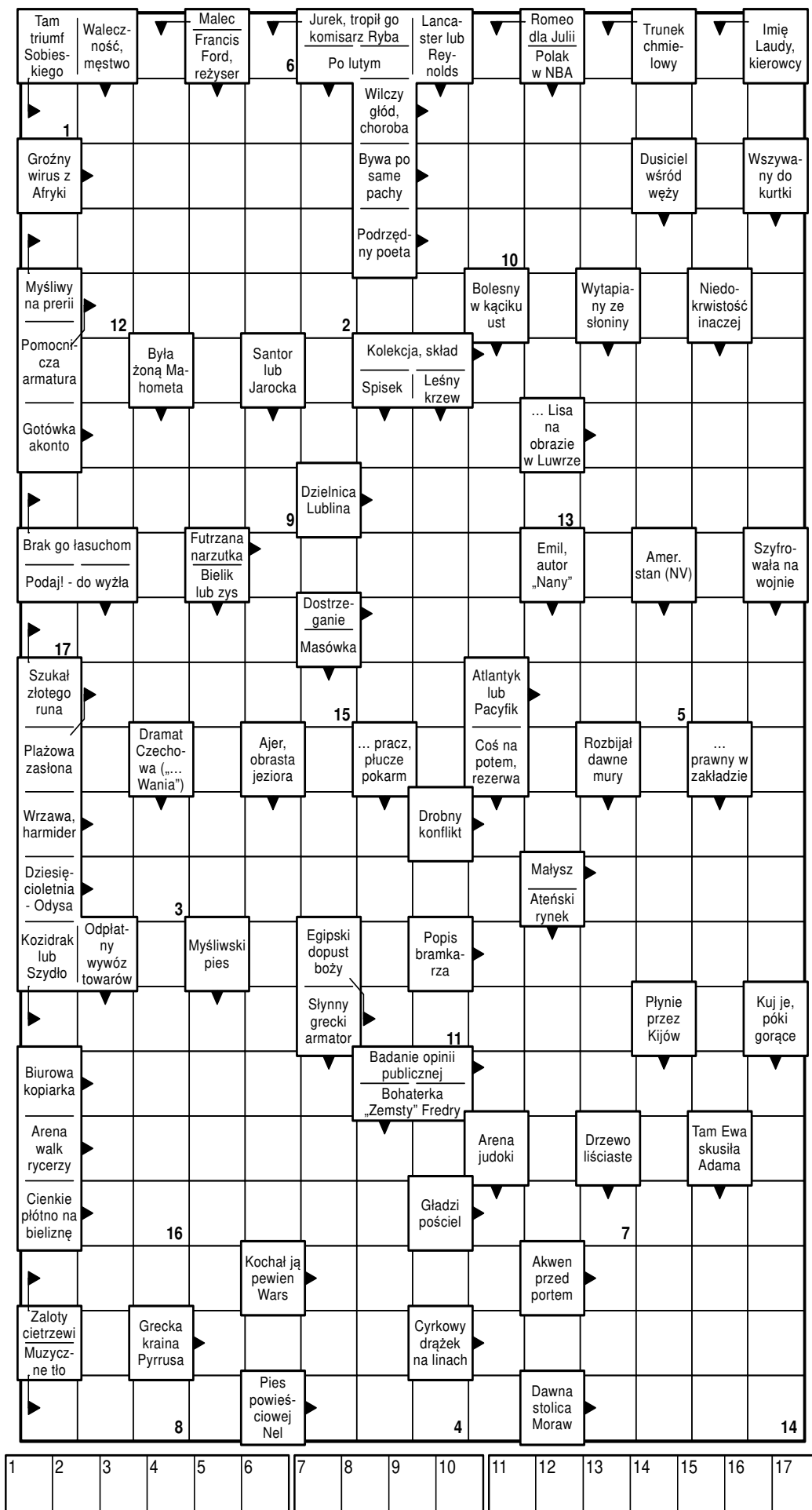
Zwyciężczynią została Teresa Leśnicka (Wilno)

Nagrody prosimy odebrać w redakcji do 7 marca.

Uwaga, osoby przysyłające rozwiązanie krzyżówek, prosimy o podanie imienia, nazwiska, adresu, a także w miarę możliwości – numeru telefonu.

W losowaniu nagród za rozwiązanie krzyżówki nie mogą uczestniczyć pracownicy redakcji oraz członkowie ich rodzin.

Ułożył Roman Głowacki



Opera
Bałtycka
w Gdańsku

KRÓL ROGER

Intrygujący, perfekcyjny wizualnie i pełen emocji spektakl.

Anna Umięcka, www.gdańsk.pl

Spektakl Opery Bałtyckiej w Gdańsku

5 kwietnia 2025, godz. 18.30 | Teatr Muzyczny w Kłajpedzie

Opera Bałtycka w Gdańsku



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego



KLAIPĖDOS
VOKIETINIS
TEATRAS



INSTYTUT
POLSKI
WIAŁO

LITVINS
INSTITUTAS
VILNIUS



Ministry of Culture and National Heritage
Republic of Poland

Finansuojama Lietuvos Respublikos Kultūros
ir tautinio paveldo ministerijos lėšomis
pagal programą „Išvystinti kultūra“.



Patronat pokkij prezidentij w Radzie UE
Patronage of the Polish presidency of the Council of the EU
Patronage de la présidence polonaise du Conseil de l'UE